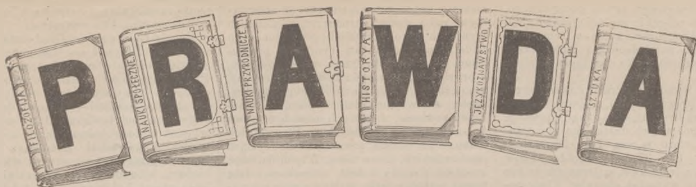
Nr. 22. Warszawa, dnia 1 Czerwca (20 Maja) 1895 r. Rok XV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Króle- [illegible] k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3-ej po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



POLITYKA.

CRISPI TRIUMPHANS.

Crispi stoczył w niedzielę d. 26 b. m. walkę z wrogami, których na Boże Narodzenie r. z. wypędził był z Izby sejmowej. Zwycięztwo odniósł zupełne: na 508 posłów, którzy zasiądą w sejmie, jest 472 ostatecznie wybranych, a z tej liczby tryumfator ma swoich 326, dla przeciwników zostawił tylko resztę, i to nie jednorodną, rozdzieloną pomiędzy Rudiniego, Brina, Cavalottiego, Zanardellego i Giolittiego.

Zwycięztwo nie było trudnem: pracował nad niem dawny garybaldczyk przez cztery miesiące wszelkiemi siłami i środkami, jakie zapewnia posiadanie władzy wykonawczej. Oczyszczał listy wyborcze, zabezpieczał wybory od gwałtów przez osadzanie przeciwników w więzieniach policyjnych, zdzierał odezwy stronnictw przeciwnych, a sobie kaptował zwolenników obietnicami i reklamą, jakiej nikt jeszcze przed nim nawet w krzykliwych Włoszech nie użył.

Z list wyborczych usunął Crispi około pół miliona jakoby bezprawnie tam wciągniętych, przestrzegając przez prefektów, aby bezprawność była, o ile się da, zawsze po stronie przeciwnej. Z samej prowincyi rzymskiej skutkiem tej operacyi, dokonywanej nożem prawa w żywem ciele prawa, ubyło 30,000 wyborców, którzy mogli byli stać się niedogodnymi w dniu głosowania. Jakby to jeszcze nie wystarczało, nakazał Crispi prefektowi Rzymu w nocy z soboty na niedzielę uwięzić siedemdziesięciu wyborców pod pozorem bezprawnego rozlepiania odezw, na które czas jakoby już był minął.

Dzięki takiej taktyce i strategii mógł odnieść zwycięztwo nawet świetne. Wybrany aż w 9 okręgach, może się uważać za męża przeznaczeń narodowych i za takiego też istotnie podaje się wszem wobec. Jego mowa przedwyborcza, we czwartek d. 23 maja w teatrze „Argentina“ w Rzymie, jest typową pod względem zarozumiałości i pychy.

Wszyscy jego przeciwnicy wchodzą z nim razem do sejmu, niektórzy również więcej niż z jednego okręgu. Wybrano na nowo, prócz powyższych, jeszcze Imbrianiego, Monottego, Garibaldego, Bonghi'ego. Wogóle skład Izby nowej nie odskakuje daleko od składu poprzedniej — jeżeli pod uwagę weźmiemy same tylko liczby; różni się jednak nowy sejm znacznie od poprzedniego jakością tej hordy ministeryalnej, którą Crispi za sobą prowadzi: będzie ona lgnęła do niego lepiej, niż dawniejsza większość, bo i smycz teraz mocniejsza i psy posłuszniejsze.

Odrodzenie parlamentarne — hasło Crispiego — przy takim parlamentaryzmie, jakiego się trzyma sam odradzacz już od pół roku, nie może być niczem więcej, tylko ironią. Odrodzenie rzetelne zacząć się musi od strącenia Crispiego ze skały tarpejskiej. Wtedy dopiero zacznie się swobodny, niczem nie tamowany proces porządkowania rozwichrzonego parlamentaryzmu. Zepsucie, które wtargnęło z Crispim do nowego sejmu, będzie musiało opóźnić chwilę upragnioną. Naród potrzebuje siły skupiającej, rzetelnej, a taką dać mu może tylko wyższy rozum stanu i cnota obywatelska. Nie w Crispim ich szukać. Może ich nie ma wcale w żadnej wybitniejszej, politycznie działającej osobistości, ale człowiek od biedy zawsze się znajdzie. Ktokolwiek nim będzie, ojczyźnie swej zdoła w każdym razie więcej dobrego zrobić, niż dzisiejszy tryumfator włoski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rzeczpospolita na Formozie! — oto najciekawsza wiadomość z ubiegłego tygodnia. Ta sama Formoza niedawno jeszcze, we wschodniej swej części, miała ludożerców. Prezydentem rzeczpospolitej został gubernator chiński, Tang-szyng-tsung — co zwiększa jeszcze tragikomizm sprawy. Cały ten republikanizm wygląda na robotę rządową; może być jednak i samodzielnym ruchem samych urzędników chińskich, wywołanym przez wstręt do obcego panowania. W istocie jest to tylko powstanie przeciwko Japonii, a lepiej demonstracya, zaspokajająca uczucia zarówno rządu chińskiego, jak i dawnych jego poddanych. Flota japońska wraz z komisarzem do objęcia wyspy przybiła już do lądu; z opanowaniem japończycy niewielki trud mieć będą. Po zmożeniu oporu powinniby postąpić jak najłagodniej z „republikanami.“ Drażnienie chińczyków byłoby niepolitycznem, a patryotyzm ma zawsze prawo do poszanowania.

Układy z mocarstwami, działającemi dyplomatycznie przeciwko Japonii, jeszcze się toczą. Przyśpieszenie wypłaty kontrybucyi, takie, aby zastaw był albo zbytecznym, albo krótkotrwałym, stanowi główną troskę dyplomacyi; porozumiewają się również dyplomaci europejsko-chińscy z japońskimi o wysokość odszkodowania za Liao-tong, którego zrzeczenie się przez Japonię jest już ostatecznem. Niemało też węzłów do rozplątania przedstawiają stosunki handlowe.

We Włoszech d. 26 b. m. wybory dały trzysta kilkadziesiąt miejsc w sejmie rządowi, tj. jego przyjaciołom, szczerze też nazywającym się „ministeryalnymi“; żadnej szlachetniejszej nazwy znaleźć dla siebie nie zdołało to mameluctwo. W trzydziestu kilku okręgach wyborcy staną jeszcze raz do walki; nie oglądając się na jej wyniki, rząd już teraz trzyma cały sejm w garści.

Na Węgrzech dwa prawa wyznaniowe, zatrzymane przez Izbę magnatów, jeszcze nie wyszły z młyna prawodawczego; trzy pozostałe wchodzą w życie. Od 1 października r. b. Węgry będą już miały urzędników stanu cywilnego z herbem Węgier na attyli i szarfą niebieską w pasie.

Hr. Agenor Goluchowski nie rozsyła okólnika o objęciu urzędu, gdyż nie zmienia dotychczasowego prądu politycznego, a blizkie już zebranie się delegacyi da mu sposobność wynurzenia się z tem, coby mógł mieć do powiedzenia i Austro-Węgrom i Europie, jako następca Kalnoky'ego.

Reforma wyborcza Przedlitawii wkroczyła już w progi komisyi, mającej ją wpuścić do Izby. Projekt, opracowany przez p. Rutowskiego, w tych dniach ma być ogłoszonym; dostaje w nim Izba 50 nowych wyborców: 35—37 pięcioguldenowców i 15—13 rzemieślników, należących do kas zapomóg na wypadek choroby. Opór będzie silny; wróżą nawet rozpadnięcie się koalicyi rządowej.

We Francyi d. 25 i 27 b. m. Izba deputowanych rozprawiała o niegodziwości żydów: wykazywano niebezpieczeństwo, jakiem grożą służbie rządowej, utyskiwano na nagromadzone w bankach żydowskich kapitały i wszystkie ich nieprawości. Skończyło się na prostym porządku dziennym. Pobawiono się trochę żydami i panem Baudry d'Asson, który wniósł projekt taką nienawiścią pałający, iż p. Brisson, prezydent Izby, nie chciał go nawet głośno odczytać.

Dobra harmonia Francyi z Niemcami zyskuje charakterystyczne ogniwo: rząd zapowiedział projekt wzniesienia pomnika dla francuzów, poległych w obronie ojczyzny przed 25 laty.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Marya von Ebner Eschenbach, *Glaubenslos*. — Sudermann, *Es war!*



W jednym ze swych niedawno ogłoszonych „Kazań laika“ (Leien-Predigten, 1894), złożył O. Leixner następujące wyznanie wiary: „Jako redaktor „Niemieckiego dziennika powieści,“ otrzymuję rocznie około 300 po większej części wielotomowych powieści, od 1,000 do 1,200 szkiców, 5,000 poezyj i około 3,500 listów. *Dwie trzecie* tej produkcyi pochodzi z kobiecych kałamarzy. W czternastym roku życia rozpoczynają uczennice wyższych szkół żeńskich przerabiać swe nadetatowe uczucia na rymy; w piętnastym i szesnastym piszą o wychowaniu, o prawdziwem szczęściu w małżeństwie, albo „robią“ nowele z „miłością,“ siedemnasto i dziewiętnastoletnie piszą już niekiedy romanse, w których może być mowa i o niewierności małżeńskiej. W ostatnich kilkunastu latach poznałem do tysiąca istot żeńskich, które piszą. Z tych dziesięć zaledwie posiada talent, czterdzieści dają towar możliwy, cała wielka reszta nie posiada odrobiny uzdolnienia i najmniejszej siły literackiej.“

Brzmi to bardzo pesymistycznie. Nie trudno atoli przypuścić, że sąd cudzoziemca wypadnie gorzej jeszcze, niż sąd tubylczego kaznodziei. Kiedy się bowiem należy do narodu analfabetów, gdzie słowo drukowane nie jest jeszcze „bez ceny“ na rynku potrzeby duchowej, to przywykamy do pewnej czci dla literatury. Musi już bowiem istnieć ważna po temu przyczyna, powien przymus wewnętrzny, jeśli w dzielnicach słowiańskich ludzie sięgają do poetyckiego kołczana. Kiedy zaś z tem przekonaniem zaczynasz rozczytywać się w literaturze niemieckiej, którą oni przezywają „piękną,“ to ostatecznie przychodzisz do wniosku, że wstępując na tę ziemię, bynajmniej nie należy, jak rozkazywał Jehowa, „zdejmować sandałów“: zamiast świętych bowiem pól znajdziesz szeroko ale płytko rozlaną brudnawą wodę.

Oazą śród tej wody jest działalność M. Eschenbachowej. Nieznana po za granicami ojczyzny swojej, obca jest zapewne nietylko pamięci, ale i uszom największej części czytelników naszych. Dzisiaj zajmiemy się tylko ostatnią jej powieścią.

Osnowa prosta — jak w powieści nowoczesnej być „winno.“ Snuje się ona w wiosce. Na pierwszym planie znajduje się młody ksiądz, targany walką wewnętrzną. Obok niego nędzny chłop, w którego głowie tłuką się jakieś niedobitki racyonalizmu teologicznego; zresztą natura z gruntu zła, chora, podejrzliwa, despotyczna. Na drugim planie widzimy starego kanonika, w którego duszy wszelkie ognie już zastygły i przyoblekły gorąco za młodu serce w mgłę przebaczenia i litości. Dalej — rodzina chłopa: żona i córka — męczennice, wzdychające do losu ludzkiego. W perspektywie zaś ukazuje się tło: wieś z jej nędzą materyalną i moralną, z jej troskami i bezmyślą. Oto wszystko.

Ksiądz Leon ugina się pod ciężarem obowiązków. Przybył do wsi pełen nadziei, a dzień mu nie mija bez rozczarowań. Przygarnął do siebie dziecko opuszczone— odpłaciło mu nienawiścią; szedł do ludzi ze słowem miłości — odpowiadali mu uśmiechem półgłówków. Jako obcy pierwiastek w dość jednorodnym organizmie wiejskim, zawadzał każdemu: chłopom, których przerastał rozumem i wiedzą, kobietom, którym groził z kazalnicy, dzieciom nawet, był bowiem zbyt dobrym dla nich. Pod temi uderzeniami dusza jego coraz bardziej pękała. Ze swej strony wieda wywierała także wpływ rozkładowy. Pewnego dnia spostrzegł, że stanął na rozstajnych drogach. Postanawia więc uciec. Ale przechodząc około wrót cmentarza, wstąpił na chwilę, aby pożegnać tych, którzy go dręczyli za życia, a którym chciał przebaczyć raz jeszcze, choć już tego nie czuli. Tutaj na grobie niedawno pochowanego despoty wiejskiego spotyka jego żonę: dawna męczennica, któraby mogła teraz wreszcie odetchnąć swobodnie, przyszła na grób swego kata ze łzą miłości: ten widok i prośby chłopki zmuszają odstępcę do powrotu.

Taką jest krótka treść powieści; nigdy rysunek nie odtworzy życia i farb obrazu, a więc szkielet powyższy niechaj fantazya pokryje żywem ciałem. My na tem poprzestać musimy. Jak żywo i jak artystycznie opowiadać umie autorka! Na zakończenie piękna legenda, którą ks. Leon opowiada w szkole: „Pewnego dnia szedł Chrystus z uczniami przez gaj oliwny i widział gromadę dzieci, biegnącą za złotym wozem, z którego bogate dziecko rzucało zabawki i kwiaty. „Dzieci!—zawołał — zatrzymajcie się chwilę i pójdźcie do mnie a spojrzyjcie mi w oczy.“ Ale dzieci w biegu zaledwie z ukosa spojrzały na niego. Tylko najmłodsze stanęło i chciało usłuchać głosu bożego. Wtem gromada pchnęła je naprzód; nie oparło się: wszystkie pobiegły znowu za wozem złotym i zbierały z ziemi zabawki i kwiaty, które im dziecię bogate zrzucało łaskawie z woza... Wiele lat minęło, a z dzieci wyrośli ludzie dojrzali. Ci już oddawna nie wiedzieli nawet, jak wyglądały piękne rzeczy, za któremi biegali przed laty. Jednego tylko zapomnieć nie

---

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 17.

Wrzawa rosła i przysuwała się. Z jej skotłowanego odmętu wytryskały co chwila pojedyncze rozpaczliwe krzyki lub dzikie wycia. Czasem znowu zrywał się tuman rozdartych bólem głosów, żałosnych błagań, zwierzęcych ryków, jak gdyby je wicher zgarnął, zmieszał i cisnął w przestrzeń. Czuć było pochód wielkiej burzy, która miażdżyła okrwawionemi stopami istnienia ludzkie i zmiatała ich schroniska pożogą. Przez małe okienka i przez szpary domu wślizgiwały się coraz liczniej złowrogie smużki łuny, a wkrótce już można było rozpoznać chrapliwe warczenie ognia, rzucającego się na sąsiednie budynki.

Orla, utkwiwszy skamieniałe oczy w drzwi, przez które matka wyszła, nie oderwała ich ani na chwilę. Ciało jej unieruchomił bezwład śmiertelnej trwogi, na twarz wystąpiła liliowa bladość, usta roniły jakieś szepty, podobne do szeptów kwiatu. Tylko w obnażonej nieco piersi drgało serce mocnym przyśpieszonem ruchem. Nagle przed domem przeleciało w popłochu stado ludzi z okrzykiem:

Moronowie! Arjos zdradził!

Orlę krzyk ten targnął gwałtownie i wyrwał z odrętwienia. Zrzuciła nogi z łóżka, jak gdyby chciała biedz.

Orla.

Arjosie... tyś zdradził?

Pytanie to usta jej powtórzyły kilkakrotnie coraz ciszej. W długich przerwach z gorączkowym jej oddechem zaczęły wypadać szepty.

Nie... Potwarz zabiła prawdę... i przebrała się w jej szaty... Mój dobry, czysty Arjos... Nie... Przyjdź, kochanku, i powiedz. Nie... On?... Niech bogowie poświadczą, nie uwierzę... Wszystko kręci się wirem około niego... On stoi i milczy... Przemówił... Nie!..

Ogień, przeskakując z budynku na budynek w szalonych pląsach, zaczął lizać swymi pałącymi językami ściany domu Orli. Ale ona, odurzona boleścią, nie pojmowała niebezpieczeństwa, czuła tylko bezwiednie, że jej powietrza do oddechu braknie. Nagle drzwi, roztrącone silną ręką, rozwarły się, i na żółtem tle płomieni zewnątrz ukazała się czarna postać.

Zebor.

Jest!

Orla.

To nie ty, Arjosie!

Zebor.

Ha, ha, ha!

Śmiech ten gruby, ciężki, bezdźwięczny, miał szczekające tony drapieżcy, który stanął oddalony już tylko na jeden rzut od swej zdobyczy i nie spodziewa się ani przeszkody, ani oporu. Po tym krótkim śmiechu Zebor wydał głos, jak gdyby zgrzytnął gardłem, skoczył do Orli, krótkim mieczem przebił nawskróś jej pierś, zdarł z niej płat koszuli, umoczył we krwi i wybiegł. Tymczasem ogień z wielu stron uczepił się domu, po słupach i węglach wlazł na dach, a wężyki jego wsuwały się wszystkimi otworami do wnętrza. Zabójczy cios ożywił chwilowo Orlę. Próbowała ona podnieść się i zrozumieć okropną prawdę swej śmierci. Ale z każdą kroplą krwi wyciekały jej siły. Zwisła na poręczy łóżka, a mdlejący jej wzrok uwiązł nieruchomo w wejściu, zasłonionem firanką płomienia. Wreszcie zasłona ta rozdarła się, i wpadł przez nią Arjos z osmalonymi włosami, z zażegniętem w kilku miejscach ubraniem i z obłędem w oczach.

Arjos.

Orlo, Orlo! Ja, Arjos!

Z trudem odemknęła nieco powieki, spojrzała na niego, chciała coś wymówić, ale tyl-

mogli, tego mianowicie smutnego spojrzenia, którem obrzucił ich Chrystus..."

Sudermannowi przypadła w udziale na rynku literatury niemieckiej rola meteora. Nieznany, ubogi, utrzymujący się z pracy literackiej dla gazet prowincyonalnych, w rok potem „pontifex maximus" giełdy teatralnej i salonów plutokracyi berlińskiej. Światło było tak silne, że potrafiło rozpalić nawet uczucie i odwagę francuzów, którzy ośmielają się w *Débatach* drukować jego *Frau Sorge*. Ale meteory gasną przecież; po trzech też latach już zaczynają o nim zapominać: o ile trudno wiedzieć, dlaczego po „Honorze" i „Sodomie" ogłoszono go za tryumfatora, o tyle nie wiadomo, dlaczego wyśmiano w Berlinie (i Wiedniu) „Schmetterlingsschlacht." Obecnie wyszła w odbitce najnowsza jego powieść „Es war!" Leon Sellenthin, silna, namiętna, „pomorska" natura, uwodzi żonę pewnego starca, którego zabija w pojedynku. Ucieka do Ameryki, a uwiedziona Felicitas wychodzi za przyjaciela uwodziciela, Ulryka— biegunowe zresztą przeciwieństwo jego własnej natury. Po kilku latach włóczęgi Leon wraca — i tu rozpoczyna się powieść. Nie wiedział on o małżeństwie swego przyjaciela i nie mógł mu przeszkodzić. Co większa, po raz wtóry wpada w sidła zwodnicze Syreny i — jak dawniej — ulega. Zdybany na schadzce miłosnej przez Ulryka, chce mu wyznać swą winę dawniejszą i obecną, ale „dobry" przyjaciel rozcina węzeł inaczej: Felicitas zostaje wygnaną—i spokój wraca do gniazda. Leon żeni się z siostrzenicą swoją. Temat oczywiście niewymyślny, ale powieść czyta się bardzo przyjemnie. Sudermannowi udają się szczególnie dobrze natury silne, wyraziste: sam pochodzić musi ze stron pomorskich. Takie przynajmniej wrażenie czynią rozdziały, które musiał przeżyć (a nietylko widzieć) ten, kto je tak napisał. Kilka drobniejszych charakterystycznych postaci jest równie dobrych — przedewszystkiem wiecznie pijany pastor. Wiele za to figur malowanych szablonowo. O ile jednak sądzić można, Sudermann nie posiada siły rozwoju. Przez lat cztery autor „Kumy troski" niczego nie zapomniał, ale i niczego się nie nauczył.

P. O. R.

LITERATURA POLSKA.

Henryk Sienkiewicz. *Rodzina Połanieckich*, powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1895, t. I str. 322, t. II str. 378, t. III str. 499.

Gdy przed ukazaniem się „Rodziny" w *Bibliotece warszawskiej* i *Gazecie polskiej* po czasopismach obiegać zaczęły wczesne wskazówki co do osnowy i znaczenia nowego „arcydzieła"—bo u nas arcydzieła zawsze powstają przed ich narodzeniem i nawet poczęciem,—przypuszczano dość zasadnie, że Sienkiewicz, wyczerpawszy do dna w „Bez dogmatu" bierne i ujemne tony założeń, którym oddawna począł był hołdować, zdobędzie się tym razem na obraz stosunków współczesnych, o motywach uwydatnieniach, czynnych, czerstwych, pokrzepiających. Zapowiadano coś w rodzaju drugiej po „Potopie"—nowoczesnej Częstochowy. Na pierwszym planie ród stary, niegdyś zamożny, później podupadły, trzymający się ostatkami dawnych cnót i fortuny. Dokoła niego huczy już zagłada pod postacią niezliczonych przesileń i klęsk żywiołowych i cywilizacyjnych. Jeden, drugi cios cięższy, spadający na zagrożone gniazdo, obudza w nim czucie, świadomość, dzielność.

Wielkaż to i powszechna była radość, gdy odczytano pierwsze rozdziały „Połanieckich." Okazało się, że są one jak odlane według obietnic i nadziei. Staroszlachecki, odłożony Krzemień, w nim zacna, urocza, „ogromnie nasza" Marynia Pławicka, istna patronka fortecy i zawiązującej się dokoła niej epopei—a tuż właśnie nadciąga z odsieczą kawałek Czarnieckiego, Stach Połaniecki, syn zrujnowanych obywateli z Lubelskiego, przemysłowiec fachowy, wychowany za granicą, współwłaściciel bogatego handlowego domu Bigiel i Sp., przybywający wprawdzie po odbiór 20,000 rubli, umieszczonych na hypotece Krzemienia, ale kto wie, najpierw może to tylko fortel wojenny, a powtóre, od czegóż Marynia jest „naszą"? W rzeczy samej rozmowy dwojga młodych ludzi odrazu (od str. 40) przybierają obrót upragniony, i niewiele trzeba wobec czarów dobrej i kochanej dziewczyny, aby Połaniecki nazajutrz już po przyjeździe do Krzemienia uczuł się „ogromnie rozbrojonym." Nie minie go z pewnością miła ta ewentualność, lubo znacznie później; tymczasem, chwilowo, przewidziane podstawa operacyjna chwieje się i pauje. Przemówiwszy się z ojcem Maryni, „uroczystym" Pławickim, o pieniądze, Stach opuszcza Krzemień zły, rozdrażniony, pogniewany... Ale nie wszystko jeszcze stracone: na stacyi kolei spotyka go Jamisz, wielce prawy i rozumny sąsiad Pławickich, i z miejsca mu przepowiada, że wróci do ziemi, z której wyszedł, bowiem ziemia ciągnie ku sobie, zwłaszcza takich, jak Połanieccy, którzy z dziada pradziada byli rolnikami... „Teraz jeden z tych Połanieckich — oświadcza Jamisz— obrał inny zawód, ale też i większość dzieci rolników musi obrać inny zawód. Część ich zmarnieje, część dorobi się i wróci — wróci nietylko z kapitałem, ale z nową energią i tą znajomością ścisłej administracyi, jaką specyalne zawody wyrabiają... I w tem jest przyszłość..."

Ponieważ hasło Jamisza, jako program zasadniczy, doskonale przystaje do pomysłu kampanii idealnej w Krzemieniu, ponieważ sam Połaniecki, posiadający już niezbędny „kapitał i znajomość ścisłej administracyi," oświadczył był Maryni, że nie bawi się w robienie pieniędzy dla pieniędzy, ponieważ nadto, zaraz po pożegnaniu się z Jamiszem, otwarcie potępił zachowanie się swoje u Pławickich („Jak się to głupio stało! jak głupio!" str. 83), czytelnik przeto, mający wciąż głowę nabitą widzeniami bojów i utarczek, jak w „Potopie," dość racyonalnie przypuszcza, że czwarty rozdział tej epopei rozpocznie się od niechybnego upadnięcia Połanieckiego do stóp Maryni i od wołania: „Podajcie mi konia, znieście tu do celki regestra i plany Krzemienia, zatoczcie na wały pługi i brony!"

Akurat! W to i graj Połanieckiemu, który odtąd nie przestanie obracać się przed lusterkiem swych rozmyślań kołowrotnych i zapewniać siebie na wszystkie boki, że nie jest bynajmniej mazgajem i niedołęgą, że może na chleb zarabiać i że potrafi żyć... Wyskoczywszy z Krzemienia jak oparzony, wpada w Warszawie do domu swego wspólnika Bigiela, i zaraz na wstępie urządza z jego dziećmi coś podobnego do parodyi gry w szwedą i polaka: obstawia siebie krzesłami, każe malcom atakować aluzyjny ten szaniec. Ma to niby być wojna meksykanów z hiszpanami, Montezumy z Kortezem... Ot wam i wasza Częstochowa nowoczesna!.. Z początku, na oko, wygląda

---

ko na martwych jej ustach zastygł słaby uśmiech i skonała. Arjos, uniósłszy ją, spostrzegł krew zakrzepłą na piersiach

Zabita? Orla moja zabita?! Ty to widziałeś, boże, i nie powstrzymałeś morderczej ręki? Jej śmierć była potrzebna dla twojej chwały i szczęścia świata? Odpowiedz, niebo, jeśli nie jesteś pustel.. Chodźcie tu co prędzej, ogniste żmije, które tak wokoło syczycie, obwińcie nas palącymi splotami i uduście moje obmierzłe życie.

W długim pocałunku przyłożył usta do rany Orli i tak pozostał. Zgruchotane zębami ognia belki i wiązania domu runęły i zamknęły ich w gorejącym grobie, strzeliwszy ku niebu słupem iskier.

Widok 18.

Moron, stojąc na górze, śledził uważnie pochód swego rodu i przebieg napadu. Twarde jego oblicze czasem złamało się wzruszeniem, a ręce ścisnęły kurczowo; natychmiast wszakże odzyskiwał spokój. Dopiero gdy z osady Mirów błysnęły płomienie, gdy z niej buchnął wielki ryk zwycięzców i wielki jęk zwyciężonych, gdy widocznem już było, że miecz w przymierzu z ogniem dokonał zagłady, skalista twarz arcykapłana zajaśniała niehamowaną radością. Milcząc, nie odpowiadając na ciągłe pytania niespokojnego Tylona, który skrępowany z zawiązanemi oczami leżał przy stosie suchych gałęzi, śród dwóch zbrojnych stróżów, stary patryarcha poił wzrok wymarzonym a rzeczywistym widokiem. Krzyki mordowanych grały w jego uszach hymn potęgi Jama, a łuna pożaru oświecała zorzą szczęścia przyszłość jego ludu. Dał znak — strażnicy położyli Tylona na stosie. Moron wzniósł natchnione oczy do nieba i mówił.

Moron.

Boże nasz, spełniła się wola twoja i okazała się moc twoja, a my spożywać będziemy owoce nowej łaski twojej. O Panie, Panie, jakżeś wielki w sile i szczodry w hojności swojej! Wszystko stworzenie, sławiące cię od wieków, nie może wypowiedzieć, kim jesteś, tem mniej uczynić to zdołają usta moje. Ale nie wzgardź, Ojcze, tą dziękczynną ofiarą, którą ci ubogie dzieci składają!

Długim i szerokim nożem przerznął gardło Tylona, nabrał w dłoń krwi i pokropił nią stos, który, podpalony w tej chwili przez strażników, rozgorzał bujnym płomieniem. Już świt dnia przecierał się na wschodzie przez opony nocy. Mgła poranna otoczyła szerokim kołnierzem szczyt góry, na której Moron złożył bogu całopalenie, a z tego lotnego kręgu dobywała się gorzel stosu, niby ognista kiść wulkanu. Pogromcy Mirów, ujrzawszy tę ofiarę, odpowiedzieli na nią grzmiącym okrzykiem uniesienia. Moron, wciąż nieruchomy, z głębokim zachwytem patrzał na rozpostarty w dole obraz zniszczenia. Wszystkie budynki leżały w zgliszczach, tu i owdzie czerwonawe płomienie, niby warczące nad kośćmi lamparty, ogryzały głownie, a śród nich czarne i bure dymy włóczyły się jak hyeny na pobojowisku. Moron wodził za nimi wzrok radością napojony. Wreszcie podniósł ręce i błogosławił swój lud. Wówczas od dymów stosu Tylona i zgliszcz osady zaczęły się odrywać obłoczki ludzkich kształtów, które podążyły w jednym kierunku i niby wianek gołębi zawisły nad jednym zgorzałym domem. Po chwili uniosły się z tego miejsca dwa inne białe obłoczki, przybierające coraz wyraźniej postacie mężczyzny i kobiety, które wzbiły się wysoko i wraz z tym orszakiem popłynęły w przestrzeń. Moron je rozpoznał i błogosławiące ręce opuścił. Wzeszło słońce, przystanęło na niebie i zdumionem okiem spojrzało na cmentarz Mirów. Natura nie powitała swego monarchy zwykłym hymnem porannym. Zdawało się, że wszystkie w niej głosy oniemiały, wszystek ruch zdrętwiał, że nawet czas zatrzymał się na chwilę, obejrzał i śpieszniej odszedł drogą ku wieczności.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

to dość sobie naiwnie, zaledwie tylko jako dziwolążek bagatelny, żarcik ckliwy, przesłodzony na wzór zwyczajnych stylowych czułostek, pięknostek i ozdóbek, osiadających dziś coraz gęściej, niby mszyca złowroga, na kwiatach dawniejszego jędrnego krasomówstwa Sienkiewicza. Ale trzeba czytać dalej uważnie, aby się przekonać, że za cacczkiem ciągną następstwa wcale poważne, że w tej rodzinie Połanieckich, jak poprzednio w rodzinie Płoszowskich, losami ludzi i wypadków rozrządza fatalizm jakiś, wspomniany w opowiadaniu po kilkakroć pod mianem „ironii życia..." Właściwie ironizuje tu być może nie tyle życie, nie tyle fatalizm, ile sam Sienkiewicz. W ciągu obudwu *współczesnych* powieści niepodobna oprzeć się ponawiającemu się wrażeniu, że autorowi, w gruncie rzeczy, nigdy nie szło o co innego, tylko o wystawienie na śmieszność tych, których ostentacyjnie, w żywych i malowanych powierzchniach, zagarnął pod swoją kuratelę. Któregokolwiek z tych swoich pupilów dotknie się i publiczności ukaże— z każdego w końcu wylezie czaszka idyoty, kadłub bałwana, pierś zdechlaka, łydka narwańca, łokieć pół filuta lub pięta pół-oszusta. O jego Stachu Połanieckim również nie wiadomo, co teraz sądzić. Nie komedyant, nie urwis, nie błazen, nie wojak, nie filozof, nie jest on na seryo i handlarzem, a prawdopodobnie nigdy też nie będzie rolnikiem. Z czegoż się w istocie składa? Dla ocenienia niezbędne są prawie aptekarskie ciężarki.

Składa się najpierw z kilkunastu, a może i z kilkudziesięciu dóz aforyzmów i prawd „uczciwych," to jest takich, które „ktoś kiedyś już wypowiedział," my zaś obecnie lękamy się ich powtarzać, bośmy się „wyzwolili ze wszystkiego i nic nad sobą nie uznajemy" (II, 83). Do mieszaniny wchodzą następnie kupą całą owe wglądania w siebie i podglądania siebie, które nas przesyciły i przepoiły w „Bez dogmatu," tylko że w obecnej edycyi zdjęte z nich zostały pyłki jadowite, śmiercionośne, i Połaniecki nosi się z nimi niby spóźniona jakaś rekonwalescencya płoszowszczyzny. Dalej, w mglistych rozmyślaniach nad niemocą i zgonem Litki Chwastowskiej, nad moralnemi suchotami i trumną Bukackiego, mamy reminiscencye szpitalne bodaj czy nie z „Resztek życia" Kraszewskiego. Oprócz tego, wszędzie tam, gdzie Połaniecki wyśrubowuje swoją tężyznę kupiecką lub męzką i układa strategiczne plany względem Maryni Pławickiej, najwyraźniej odzywa się Wokulski z „Lalki" Prusa, starannie obcięty i ostrugany z owych kanciastości i rogatości doktrynerskich, reformatorskich, które postać tę czynią o tyleż w niektórych sferach nieprawdopodobną i bajeczną, o ile w rzeczywistości artystycznej drga ona życiem i prawdą realną—mniejsza już z tem, czy „uczciwą."

Dokąd z takim Płoszowsko-Wokulsko-Połanieckim dążymy, czego chcemy, co robić zamierzamy po wyjeździe jego z Krzemienia, dalibóg nie wiemy. Jeśli to jest nieodrodny potomek swych protoplastów dzielnych i idzie pokazać nam, że w teraźniejszości nie mamy jeszcze wystarczającego zasobu pierwiastków swojskich, aby na nich osnuć rzetelną obronę twierdzy krzemieńskiej — obronę krodką, miarką, statkiem i pracą, w takim razie dobrze, bardzo nawet dobrze... W każdym atoli razie nie godzi się zapominać, że nawet przyroda martwa, nieorganiczna, ma swe znamiona okresowe, swe geologiczne wyznaczniki czasu, miejsca, pochodzenia. W „Rodzinie Połanieckich" nie widzimy, ani gdzie jesteśmy, ani nawet *kiedy*. Z nikłych napomknień Stacha i Jamisza o cłach, z dywogacyi prof. Waskowskiego o aryach, która to nazwa weszła w powszechniejsze użycie dopiero w połowie wieku XIX, domyślamy się tylko, że rzecz nie dzieje się za Stanisława Augusta, aczkolwiek niechybnie dziaćby się mogła, gdyby wogólności cokolwiek się działo w powieści; ale nie dzieje się nic zgoła. Pewnego dnia Biegel, wychodząc z letniego mieszkania Broniczowej i Castelli, dwu figur najdzielniej uprawiających sport — jedna językowy, druga flirtowy, powiedział: „Jak oni tu sobie wygodnie żyją!" — i pomyślał, że duszą całej tej willi jest jakby ciągłe świętkowanie, czyli próżniactwo (III, 81). Gdzieindziej dekadent Bukacki utyskuje przed zgonem, że nic nigdy nie zrobił *dla swoich* (II, 269). Ale to są chyba żarty. W całem otoczeniu Połanieckiego, bliższem i dalszem, od początku do końca, nikt nic nie robi nietylko dla swoich, lecz nawet dla siebie, a owa szczególna dusza Broniczowej i Castelki jest dźwignią i najrzetelniejszą ekspresyą wszechruchu w powieści, to jest najzupełniejszego w niej bezruchu. Czy Połaniecki wystawia na sprzedaż Krzemień, czy się żeni z Marynią, czy jedzie z nią do Włoch, czy las kupuje od Maszki, czy majątek swój pomnaża, czy podziwia wcale nieznane wiersze Zawiłowskiego — wszystko to „czyni się" samo i w jeden zawsze sposób — nader cichy, gładki, łatwy, na sposób literacki, literacko-wekslowy. Trudy, zachody, przeszkody nie istnieją; gadają nam o nich — i nic więcej... A cóż, może to tak i trzeba, może to naprawdę ogromnie nasze, wyłącznie nasze? Umieliśmy wszak niegdyś stać nierządem, dlaczegóżbyśmy teraz nie mieli rządzić się stanem!

Mylimy się jednak. Jest ruch jeden w „Rodzinie Połanieckich." To ten, który Jamisz z góry przewidział: Połaniecki wraca do ziemi—z fachem, z pieniędzmi, z Marynią, z synem, lecz wraca nie w rozdziale IV-m tomu I-o, tylko w XXVI rozdziale III-o tomu, kiedy się już wszystko samo uczyniło, kiedy wszyscy wyspowiadali się jeden przed drugim z tego, o co ich nigdy głowa nie zabolała, to jest, że oprócz czczej paplaniny i rozpusty romansowej, do niczego innego nie są przygotowani i uzdolnieni. Więc najpierw Bukacki, jak wiemy, spowiada się, że nic przed śmiercią nie zrobił; Linetka Castelli (przed ślubem z poetą Zawiłowskim), że każdy włos z brody Kopowskiego ma dla niej dziwny i nieprzeparty urok (III, 277); Osnowski, mąż najnikczemniejszej w całym eposie kobiety, że codzień na klęczkach Bogu dziękuje, iż mu dał żonę tak cnotliwą i nieposzlakowaną (III, 306); Połaniecki, że Marynia jego jest to zgoła inny gatunek, niż Maszkowa (II, 153), że uczucia jego dla Maryni inne są w środku książki, niż były na początku (II, 163), że w Maryni wygrał wielki los na loteryi (III, 383), że nie byłby tak pokochał Maryni, gdyby była inna (III, 467); prof. Waskowski wreszcie, że chrześciaństwo nie wypowiedziało jeszcze ostatniego swego słowa, że misya wprowadzenia miłości (tak!) do dziejów i w zakres stosunków międzynarodowych, niezawodnie przeznaczoną została najmłodszym z aryów, słowianom, ale że przedtem jeszcze nietylko on, Waskowski, ale całe pokolenia wymrzeć muszą na katar żołądka, „spowodowany niestrawną kuchnią księztw naddunajskich" (III, 284)... I pomyśleć sobie, że wszystek ten balast, gruz i jak od trzęsienia ziemi pokruszony budulec quasi-pesymistyczny, quasi-scientificzny, quasi-dyletancki, obciążający szość siódmych trzytomowej powieści, pójść musiał — w obliczeniu ostatecznem—na wywalenie bramy krzemieńskiej, która od początku stała otworem!...

Bezwątpienia, Sienkiewicz, gdy się uweźmie, to nawet z piasku, z kurzawy, licho wie zresztą z czego wydmucha gaj lub oazę najśliczniejszą. Jest to w nim niezatracalne. Nie jedno dobre bóstwo strzegło i strzeże drogocennych właściwości jego talentu, któremi są: zdolność nadawania frazeologicznego blasku i świeżości pojęciom i formom zużytym, najpospolitszym, najbardziej banalnym; umiejętność architektonicznego wiązania grubych, surowych kłód i belek zmyślenia, fantazyi lub erudycyi, cieniutkiemi jak włosek nitkami obserwacyi psychologicznej i przedmiotowej; potężny dar rzeźbiarskiego przyoblekania w ciało wrażeń i doświadczeń osobistych, odczutych żywo i głęboko, ale przygodnie, doraźnie, w chybkim biegu zdarzeń powszednich... Rozumie się samo przez się, że i tym także razem każda z pomienionych opiekuńczych wróżek zostawiła autorowi po parę upominków:—w popiersiu Maryni, wykutym z jakiegoś nadzwyczaj cennego, nieodgadnionego zlewku typowych znamion kobiety polskiej w ogólności i charaktorystycznych cech kogoś bardzo snadź drogiego sercu twórcy „Potopu"; w przepysznej greckiej grupie Osnowskiego i Linotki z Kopowskim przy schodkach cieplarni; w misternej, delikatnie wykończonej scenie upadku Maszkowej; w przędziwnie plastycznych monologach i dyalogach Świrskiego (szczególnie III, 291—292); wreszcie, w kilku rzadkiej wytworności metamoforach Waskowskiego (III, 287). Tylko że znowu, stało się z całością tych skarbów, z historyą ich powstania i rozmieszczenia—niby w legendzie gminnej:

Budował ktoś niegdyś zamek krzemieński i znosił do niego, jak do muzeum przyszłości, co miał najmilszego i najlepszego. Nadleciał jakiś aryjski Indra, czy może turański Burte-tszene, i przez zemstę lub zawiść kopnął w gmach nogą, aż się wszystko rozleciało na sto mil dokoła po polach jałowych, do martwoty wyssanych z wigoru i wdzięku. I zatoczyły się, pokładły szczątki, jak gdzie spadły. A widnokrąg osiadł nad tem płowy, nużący, leniwie i tępo zapatrzony w drobiazgi błahe, najniepotrzebniejsze, bez wyraźnej wartości artystycznej, bez donioślejszego znaczenia dydaktycznego. A działalność cała przyjęła kształt jakiegoś przestarzałego, zrujnowanego mechanizmu, który chybiwszy celu, zeszedłszy ze swojej drogi, tnie ubocznie i epizodycznie tu kwiaty więdnące, owdzie chwasty zdziczałe, lub uparcie kłapie zębami na czczo i w próżni. A tam zdala, w głębi—jaśnieje jeden tylko cieplejszy uśmiech prostoty, prawdy i dobroci niewieściej, obiegający przestrzeń z końca w koniec pasemkiem promieni bladych...

Jeżeli tak,—pochylamy ze czcią czoło przed bolesną wzniosłością tej abstrakcyi życiowej, ale swoją drogą szczerze pożałować musimy, że z tych wyżyn tyle mgieł i mroku zsunęło się na padoły. Pozasłaniały one i pogmatwały realne proporcye i warunki naszego bytu do tego stopnia, że w „Rodzinie Połanieckich"—współczesnej powieści polskiej—nie oglądamy ani jednego łyczaka, ani jednego klechy, ani jednego żyda, ani jednego chłopa...

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI

Mało się zajmowała i zajmuje Galicya jedyną swoją instytucyą naukową — Akademią umiejętności w Krakowie. Ściśle rzecz biorąc, zarzut ten ściąga się do Galicyi. Akademia powstała z przeobrażenia się *Towarzystwa naukowego krakowskiego*. Cesarz Franciszek Józef w reskrypcie do ministra oświaty napisał: „Życzeniem jest mojem, żeby założoną była Akademia umie-

jętności w Krakowie"—i powstała. Zdawałoby się, że cesarz wspaniałomyślnie ją ufundował i uposażył. Zdawałoby się. Jednego rzutu oka wszakże na fundusze Akademii wystarczy, ażeby się przekonać, że jak wszystkie „łaski" dla Galicyi, tak i ta była platoniczną o tyle, że nie kazano na nią opłacać nowego podatku i że cesarz od siebie dał 20 tys. złr.

Rozpatrzmy się w faktach, dotyczących tej instytucyi, w których jest bardzo dużo ciekawego materyału. W końcu r. 1893 fundusz Akademii składał się z wartości na sumę 292,632 zł. i gotówki 102,364 zł. Nie wchodzę w szczegóły klasyfikacyi tych sum, dodać tylko muszę, że się złożyły na nie dwie pozycye: funduszu żelaznego i „osobnego." O ile pierwsza nazwa jest zupełnie jasną i zrozumiałą, o tyle druga ogólnikową i nic nie mówi wcale, a jednak te fundusze „osobne" przedstawiają poważne cyfry: 264,713 zł. w walorach i 32,210 zł. w gotówce. Z bliższego rozpatrzenia się w pozycyach, widać, że wpłynęło *tylko 10,000 zł.* w papierach, a *2,057 zł.* w gotówce. Nie chcę zastanawiać się nad temi liczbami i nad ich stosunkiem do siebie, chociaż wiele bardzo o tem powiedziećby można.

Rzućmy okiem teraz na gospodarstwo finansowe. Stałe dochody wynoszą około 49 tys. zł. r.; na tę cyfrę składa sejm krajowy 25,000 zł., zapomoga rządowa 16,000, około 5,200 dają procenty od kapitałów i około dwu tysięcy zł. r. wpływa ze sprzedaży wydawnictw. Rozchody zaś wynoszą około 52 tys. zł. r., zatem w roku ubiegłym zamknięto rachunki z niedoborem około 3,200 zł. r. W roku zeszłym deficyt wzmógł się, co dało powód do szukania pomocy śród ogółu. Treść odezwy dałaby się zamknąć w dwóch słowach: „Dajcie pieniędzy, bo zginiemy." Pomimowoli trzeba zapytać: „A gdzież protektorowie?" Sejm poleca wprawdzie wypłacać 25,000 zł. rocznie. Na tę sumę składają się jednak wszyscy; idą na nią ciężko zapracowane grosze robotników; inni, bogaci, ci co istotnie dawać mogą — nie nie dają. A tymczasem wobec groźnego, przynajmniej według przedstawienia sekretarza Akademii, stanu tej instytucyi, prezes jej, pan Tarnowski, rozsypuje na wszystkie strony cukierki podziękowań tak słodkie, że — aż mdłości się czuje. Pan hrabia na ostatniem dorocznem zgromadzeniu kiwał głową na wszystkie strony. Kolejno tedy pokłonił się zastępcy protektora, potem namiestnikowi, biskupowi krakowskiemu, w antrakcie powiedział: na zdrowie! „dobroczynnemu założycielowi," potem kłaniał się znowu sejmowi krajowemu, rządowi „centralnemu," ministrowi oświaty, władzom rządowym. Piękna to wdzięczność, ale po wysypaniu wszystkich grzeczności, pozostał — niewesoły stan rzeczy.

Prawda, że Akademia nie może być przedsiębiorstwem przemysłowem, obliczonem na zyski, ale też mając do dyspozycyi blizko 50 tys. zł. r., mogłaby uniknąć niedoboru. Daleki jestem od wszelkich względów osobistych, rozpatrzywszy się jednak w budżecie i wydatkach Akademii, śmiem twierdzić, że źródło niedoborów tkwi w nieosobliwej gospodarce administracyjnej, w nieproporcyonalnem wyznaczaniu funduszów na różne cele naukowe i wydawnicze, a często w niewłaściwych wydawnictwach. Nie roszczę bynajmniej pretensyi do zupełnej słuszności moich uwag, tem bardziej że wszelkie sprawozdania, dostępne w druku, nie są zawsze dość jasne i wyraźne, lecz w tych spostrzeżeniach nieuprzedzony czytelnik znajdzie sporo prawdy.

Nie ulega wątpliwości, że majątek naszej Akademii jest bardzo nieznaczny, lecz z tego nie wynika jeszcze, ażeby można było niewłaściwą gospodarkę usprawiedliwić. Zamknięcie rachunków Akademii węgierskiej wykazuje dziesięć razy tyle zysku, ile nasza daje—straty rocznie. Według stawu grobla,—trzeba o tem pamiętać. Nasza Akademia, gdyby ją miała stworzyć Galicya, nie istniałaby nawet pomimo listu „dobroczynnego założyciela," bo do istnienia potrzeba jeszcze pieniędzy. Znam jedno miasto, gdzie profesor astronomii, człowiek bogaty, własnym kosztem sprawił za pół miliona teleskop i darował go uniwersytetowi, drugi całe życie zbiory gromadził i—ofiarował miastu. Wyliczyłbym i więcej takich dziwaków. W rocznikach Akademii nie znajduję jednak darów i ofiar ludzi, posiadających milionowe fortuny. Nie dziwię się wcale, gdy po najdłuższem ich życiu pozostaną owe miliony, potrzebne do utrzymania „splendoru."

Przejdźmy teraz do głównych pozycyj wydatków. Administracya kosztuje około 12 tys. zł. r. Ogólne wydatki naukowe 5,286 zł. Wydawnictwa wydziału filozoficznego 7,000 zł. (biorę sumy, jak zawsze okrągłe), filozoficznego 3 tys., matematyczno-przyrodniczego około 5 tys. Nadto na komisyę językową wydano 57 zł. (piękne pielęgnowanie mowy!), literacką *420 zł.*, historyi sztuki 2,500 zł., historyczną 4,000 zł., prawniczą 2,000 zł., archeologiczną — nic, fizyograficzną 5,000 zł., wreszcie antropologiczną 2½ tys. zł. Wydatki te nie są w żadnym stosunku prawidłowym do administracyi, która wynosi prawie ¼ część ogólnych dochodów. Z tego widać, że wydawnictwa Akademii pochłaniają resztę pozostałą od administracyi. Bardzo pięknie, bo „cel Akademii stanowi praca badawcza w dziedzinie nauk teoretycznych, nie należą zaś do jej zadań wszelkie nauki stosowane." Taki jest cel, a jakie rezultaty? Bardzo nieosobliwe. Za miarę do oceniania nie teoretycznej, naukowej, lecz rzeczywistej tj. praktycznej wartości rezultatów, może służyć ilość wydawnictw i pożyteczność ich, ceniona stopniem poczytności i wnikania w społeczeństwo. Nikt mi chyba nie zaprzeczy, że każda nauka byłaby nie wiele wartą, gdyby uczony i badacz zajmował się nią—dla siebie tylko. Musi ona być żywą, wówczas z życiem się wiąże i pożytek przynosi. Inaczej—byłaby zbiorem nikomu nieużytecznych prawd. Akademia w czasie swego istnienia wydała przeszło 380 tomów, rzeczy okropnie naukowych, często niemających związku z dziedziną nauk teoretycznych, jak większość wydawnictw z zakresu antropologii, etnografii i archeologii itd. Są to wszystko—za pozwoleniem pana prezesa Akademii—materyały naukowe. Kto i co z nich zbuduje—niewiadomo.

Niejeden z politowaniem mi odpowie, że każda Akademia robi to samo, czyli oprócz dzieł ściśle naukowych wydaje materyały naukowe. Zupełnie słusznie. Ale w takim razie albo nie trzeba określać celów, które nie są i nie mogą być jedyne, albo należy jasno te cele formułować, bo od tego zależy użyteczność pracy. Akademia krakowska powstała według wzorów istniejących oddawna; z tego wynika, że organizacya jej, cele i zadania posiadają wszystkie błędy starości, a niewiele potrzeb społeczeństwa dzisiejszego zadowalają zupełnie. To, co Akademia nauką często nazywa, jeszcze częściej nauką nie jest, lecz tylko materyałem do badania; musi być przeto dopiero ów materyał „stosowany" czyli zużytkowany, ażeby taką czy inną formę naukową przybrał. Nie należy wogóle nauk stosowanych lekceważyć; dlatego że są stosowanemi, nie przestają być naukowemi, a pożyteczność ich zwiększa się. Lekceważenie nauk stosowanych nie jest cechą tylko Akademii krakowskiej. Jak z tego w przyszłości wybrną instytucye naukowe, nie moja to rzecz rozstrzygać. Pragnę tylko zwrócić uwagę czytelników dzisiejszych na stosunek tej naukowości do życia. Akademia krakowska wydaje rocznie, nie licząc administracyi, na same wydawnictwa około 35 tys. zł. r., a sprzedaje ich za niespełna 2 tys. zł. r. Cóż to znaczy?—Albo cena wydawnictw zbyt wysoka i niedostępna dla szerokiego ogółu, albo są one zbyt jednostronne i chociaż może zadowalają pewną grupę ludzi, nie zadowalają potrzeb naukowych szerokich kół, albo wreszcie wartość tych „naukowych" wydawnictw jest za mało naukową z punktu właśnie celów i zadań Akademii. O ile wolno sądzić o tem zwykłym śmiertelnikom, przeciw wszystkim tym zarzutom Akademia potrosze grzeszy. Zacznijmy od ceny. Jest ona tak wysoką, jak gdyby umyślnie chciano nie ułatwić, lecz utrudnić rozpowszechnienie wydawnictw. Akademia na 20—25 tomów swoich druków rocznie naznacza ceny abonamentowe 125 zł. r.—to już inna rzecz, ale dla czego takie ceny jedynie w abonamencie istnieć muszą? Abonować się mogą tylko „ludzie dobrej woli," do których Akademia odwołuje się—zawsze protekcya!—lecz oni zwykle mało mają wspólnego z nauką, a ci, których wydawnictwa interesują, nie mogą za drogie pieniądze ich kupować. Z tego wynika, że byłoby o wiele *korzystniej* dla Akademii i dla czytelników, gdyby zamiast szukać „ludzi dobrej woli," zniżyć cenę wydawnictw. Tak więc dotychczas wysoka cena stoi przedewszystkiem na przeszkodzie. Odwoływania się do tego, że francuskie i niemieckie wydawnictwa kosztują o wiele drożej, nie wytrzymują krytyki. Tamte społeczeństwa dużo czytają, dużo potrzebują i są dość bogate, ażeby potrzebom swoim zadość czynić. U nas inaczej. Czytelników trzeba kształcić, że tak powiem, zachęcać. Ci, którzy u nas czytają i potrzebują książek, są bardzo ubodzy, a chociaż nie ulega żadnej wątpliwości, że są to ludzie także „dobrej woli," brak im jednak—pieniędzy. Jeszcze jedna drobnostka. Jakkolwiek Akademia ustawicznie o „nauce" i „wydawnictwach naukowych" mówi — ludzie, którzy się na rzeczy znają i prace, drukowane przez Akademię, czytają, wręcz utrzymują, że wydawnictwa te mało nawet odpowiadają błędnie i niejasno sformułowanym celom Akademii. Szczególnie stosuje się to do działu materyałów w zakresie etnografii, archeologii i historyi. Zamiast surowego materyału, który przez każdego może być użyty do roboty, są tam rzeczy bez żadnej wartości, umieszczone tylko dlatego, że pochodzą od „nos amis" lub „des amis de nos amis." Nie myślę bynajmniej dotykać niczyjej osobistości, lecz zaznaczam tylko pogłoski, pochodzące od ludzi, nie mających na celu spotwarzania tak poważnej instytucyi.

Ergo, wszelkie odwoływania się do „ludzi dobrej woli," jako też próby zwiększenia funduszów za pomocą rozmaitych abonamentów, nie doprowadzą do zrównoważenia budżetu Akademii, a co ważniejsza, nie zwiększą jej użyteczności, dopóki ona będzie narzędziem polityki krakowskiej, przedsiębiorstwem pod firmą „Tarnowski i S-ka," prowadzonem przez grupę „ludzi dobrej woli," którzy wykonywają swoją „wolę."

Z wiosną rozpoczął się, a raczej wzmógł się ruch emigracyjny ludu wiejskiego. Ucieczka z kraju sił roboczych jest od pewnego czasu chorobą chroniczną Galicyi. Z kraju tak bogatego ludzie uciekają — przed głodem, z braku pracy, środków do życia. Już to samo jest dowodem nienormalnych stosunków społecznych. Ucieczka przed nędzą jest cichym tryumfem polityki galicyjskiej i austryackiej względem tego kraju. Austrya, jako państwo, zrobiła z Galicyi swój rynek odbytowy, dla wszystkich towarów i wyrobów, nazywanych w Wiedniu „pacotil," a polityka ekonomiczna, głównie zaś kolejowa, usilnie stara się o to, ażebyśmy byli zawsze dla nich

pół-Azyą. Nasi mężowie stanu zadowalają się stanowiskiem w parlamencie; jest to stanowisko *ilości* nie *jakości*. Z 70-u posłami liczą się. Rząd używa ich za narzędzie swoje, a im się zdaje, że oni robią wielką politykę. Dobrze to świadczy o sprycie i przewrotności rządu austryackiego, ale niezbyt dobrze o naszej reprezentacyi i „Kole,“ bo zwycięztwa parlamentarne nic krajowi nie przynoszą. Wzmożenie się ruchu emigracyjnego jest chyba najlepszym dowodem, że konstytucya na papierze, dla tych, którzy z niej korzystać nie umieją, jest niczem, a nawet więcej, niż niczem, bo silniejszym i bardziej sprytnym daje legalną broń w ręce przeciwko słabszym i niedołężnym politycznie społeczeństwom.

Dotychczas zamiast szukać źródła emigracyi ludu w jego położeniu i przyczynach tego położenia, szukają go zwykle zewnątrz państwa, w lenistwie i opilstwie ludu, w akcyi agentów rozmaitych towarzystw żeglugi itd. Najleniwszy człowiek jednak nie rusza się z miejsca, jeżeli ma co jeść, a najpracowitszy traci energię i pije z rozpaczy, gdy z pracy swojej nie widzi żadnych owoców. To, co często uważają za przyczynę emigracyi, jest już następstwem. Agenci nie wytwarzają emigracyi, lecz działają tam, gdzie grunt dla niej dobrze przygotowany. Teraz rząd miejscowy dla przeszkodzenia temu ruchowi ucieka się do środków policyjnych. Jest to zwiększenie złego. Metodę zawracania z drogi, niewydawania paszportów, a nawet odbierania pieniędzy, stosują teraz właśnie na dworcach pogranicznych, lecz to wcale ruchu nie powstrzymuje. Ktoś, stykający się jako właściciel ziemski ciągle z ludem, bez ogródki powiada, że ogólna nędza i brak wszelkiego zarobku zmusza do opuszczania ziemi rodzinnej i szukania chleba chociażby za morzem. Dziesiątki tysięcy wędrują co wiosna do Rosyi jako robotnicy rolni, część znowu idzie na Węgry i do Prus, ale to bynajmniej nie wystarcza, ażeby zadość potrzebie uczynić, stąd też te dalsze wędrówki, do Ameryki, gdzie mają nadzieję poprawić los nie jednorocznym zarobkiem, lecz ciągłym dobrobytem.

Wszelkie próby zażegnania złego przez otworzenie zarobku przy budowie kolei, dróg bitych, regulacyi rzek itd., są środkami połowicznymi; trzeba usunąć źródło złego — niedołężne gospodarstwo wewnętrzne kraju i politykę rządu austryackiego. Ściśnięte w te kleszcze społeczeństwo tutejsze ledwie oddychać może. Im niższe warstwy ludności, tem ciśnienie na nie jest większe, tem ciężar dobrodziejstwa, o którem piszą zadowoleni z siebie i rządu twórcy tego położenia, sroższej je gniecie. Nigdzie może bardziej jaskrawo nie stwierdza się ta prawda ekonomiczna, niż w Galicyi. U nas jednak tam, gdzie można i należy prowadzić akcyę odporną, bez żadnego nawet uszczerbku lojalności, prawie nic się nie robi, sądząc z rezultatów; natomiast duchowieństwo i szlachta trzymają lud wiejski w kurateli, jak chorego umysłowo, niedołężnego lub niepełnoletniego.

Cho.

ZE SZLĄSKA CIESZYŃSKIEGO.

Stanowisko, jakie zajęli niemcy wobec dążeń i ideałów narodowościowych ludów słowiańskich, zamieszkujących monarchię Rakuską, jest już od dawna w literaturze naszej określone. Czy wyraża się ono przez brutalne hasło „ausrotten,“ czy przez ukołysanie wzburzonych fal ruchu narodowego za pomocą rozdawania orderów i synekur między parlamentarnych i sejmowych reprezentantów poszczególnych narodowości, to dla nas wszystko jedno. Dla nieobałamuconych frazesami umysłów sterczy nago szkielet istoty rzeczy. Po tylu próbach bezowocnych a bolesnych, świadomość słowiańszczyzny musiała wzbogacić się ideą o niemożliwości przy dzisiejszych warunkach wytwórczo-wymiennych współżycia kulturalnego dwu szczepów, sąsiadujących od tysiąca lat. Możemy być pewni, że antagonizm ten, bądź co bądź oparty na odrębnych właściwościach antropologiczno-etnicznych, a co więcej, posiadający niektóre znamiona klasowego, nie da się wyrównać półśrodkami. Jeżeli częściowa przemiana stosunków ekonomiczno-społecznych powstrzyma brutalny wybuch jego w łonie tej lub owej klasy, to niezawodnie nagromadzona energia wyładuje się w innej warstwie społecznej. Póki sztandarem narodowościowym posługiwać się będzie można w interesach klasowych, póty, bądźmy pewni, każda klasa pochwyci go w swe ręce i użyje za taran na nieprzyjaciela, gdy go ujrzy wypadającym z rąk innych.

Dotychczas hasła wynarodowiania, wogóle anti-słowiańskie w Austryi i na Szląsku, wychodziły z grupy t. zw. liberałów, którzy w monarchii habsburskiej przedstawiają interesy kapitału. Ich to wyłącznie siłami powstawały i rozwijały się *Schulverein*'y itp. instytucye, które pod pozorem celów ekonomicznych lub nawet sportowych kryły dążności polityczne: znęcenia do siebie i skupienia oportunistycznych żywiołów małomieszczańskich (polskich, czeskich lub rusińskich), dla narzucenia im swych haseł i swego programu. W tym zakresie przeważnie działa 41 stowarzyszeń humanitarnych, ekonomicznych itp.; w Cieszynie, wnoszą one pierwiastki rozkładu w sferę, na którą reagują. Z łona tejże partyi wybuchały te niezliczone „Hetzen“ i ujadania na słowian, którzy „zagrażają najświętszym interesom państwa“ (Rochowansky). W ostatnich czasach atoli spostrzegam pewną zmianę w kierunku polityki liberałów austryacko-szląskich na korzyść idei narodowych. Jest ona dopiero w zarodku, a już przedstawia się jako nader charakterystyczne znamię. Zanim określimy ją bliżej, musimy narzucić szkic rozwoju ruchów i starć społeczno-politycznych, jaskrawiej na Szląsku Cieszyńskim występujących od lat kilkudziesięciu.

Tło, na jakie przed laty 50 Paweł Stalmach i towarzysze rzucili hasła odrodzenia idei narodowej, była to szara, protoplazmatyczna masa włościańska, tu i owdzie pozostająca jeszcze niemal w sferze gospodarki naturalnej (górale w Beskidach). Innych warstw, któreby w danej chwili przedstawiały odpowiedni grunt do działań—nie było. Ruch cały tedy, mający swe źródło w ogólnym ówczesnym duchu epoki, skierował się ku wzmiankowej warstwie, tam skupiły się z początku rozstrzelone, następnie coraz bardziej zorganizowane dążenia garści uświadomionej narodowo. Wyrazem i owocem owych dążeń było założenie Towarzystwa rolniczego. Włościaństwo szybko spostrzegło, że instytucya podobna żywo zaopiekuje się ich interesami gospodarczymi; Towarzystwo przeto od początku rozwijać się zaczęło zdrowo, rozpościerając wpływ swój na sferę oświaty, wyborów politycznych itd. Wreszcie przy kółkach rolniczych, których ks. Cieszyńskie liczy trzydzieści kilka (na przestrzeni 39,5 mil kw., tj. około 1¼ naszego powiatu), zaczęto zakładać czytelnie, (zresztą istniejące i po za obrębem kółek), które stały się wybornym środkiem do skupienia włościan i robotników fabrycznych, organizowania oraz uświadamiania klasowego i narodowego tych żywiołów. Po za Tow. roln. współrzędnym czynnikiem co do znaczenia społeczno-politycznego i zasług położonych w walce o interesy słowiańszczyzny okazała się prasa, w której pod płaszczykiem ciasnego sekciarstwa religijnego odnaleźć zawsze było można szczerą sympatyę dla ideałów ludowych.

Tak więc współczesny bilans tych usiłowań wskazuje, że praca pierwszych pionierów „budzenia ducha“ nie pozostała bez owoców. Bank ludowy, Związek polit. szl. katolików, Zw. pol. szl. ewangielików, Tow. pomocy naukowej, Tow. oświaty ludowej, z początku zakładane z celem wyłącznie narodowym, następnie stały się prawdziwym czynnikiem postępu ekonomicznego i społeczno-politycznego, wyrabiając ideę solidarności społecznej, łączności klasowej, wytwarzając żywioły karne i sforne. Ruch społeczny na Szląsku Cieszyńskim pozbywał się coraz bardziej cech żywiołowości, stając się celowem działaniem anti-germańskiem (właściwie obronnem).

Zająwszy się szczerze warstwą rolniczą i rzemieślniczą, inteligencya szląsko-polska zapomniała na razie zupełnie o licznym zastępie pracowników fabrycznych i górniczych. Wojujący półśrodkami, choć pełni najlepszych chęci pionierzy separatyzmu narodowościowego, nie umieli przejąć się szczerze i gorliwie interesami tego ostatniego. Więc idee, za które walczyli, nie przenikały czas długi do chat najmitów, ruch narodowy zorganizował się w sferze rolników-sedlaków, ale i znieruchomiał. Zwrot w pomienionym kierunku spostrzegamy dopiero od chwili, kiedy pisma: *Gwiazdka* i *Rolnik szląski*, a zwłaszcza wydawane przez ks. Stojałowskiego, wywiesiwszy sztandar reform „chrześciańsko-społecznych,“ zboczyły z drogi ciasnego doktryneryzmu „demokratów.“

B. Koskowski.

Z ANGLII I O ANGLII.

III.

Royal Academy i jej tegoroczna wystawa. — Sztuka i prasa.—*Log-rolling*.— Sprawa Liberatora. — Zasady nowego prawa fabrycznego.

Królewska akademia sztuk pięknych — *Royal Academy* — wystąpiła obecnie ze 127-mą doroczną wystawą. Academy jest z urzędu najwyższym hierarchicznie przybytkiem muz, zarazem zastępuje ona francuskie stowarzyszenie artystów, urządzające co rok *salon* dla wchodzących w świat i na rynek nowych płodów. Wreszcie w Zjednoczonem Królestwie Academy gra rolę największego i cieszącego się sławą uczciwości sklepu obrazów i rzeźb, z którego mecenasi sztuki biorą dekoracye dla swych salonów i gdzie składają ofiarę złotą na popieranie „fantazyi.“ O tem, że jest sklepem, renomowanym rynkiem — nie trzeba zapominać ani na chwilę, albowiem ta to właściwość tłomaczy nam zarówno charakter wystawy rocznej, jak i przeważający kierunek w twórczości.

W samym Londynie, w salach „Galeryi Narodowej“ pracuje podczas roku 20,000 osób z paletą i pędzlem w ręku. Każdy z tej olbrzymiej armii „pędzlujących“ oddałby wiele, gdyby mógł do swego nazwiska dodać określenie: „wystawca w Academy.“ Ale wtedy salony pałacu Burlington zamieniłyby się na olbrzymi bazar, w którym nawet arcydzieła ucierpiałyby na wartości. Wprawdzie tytuły akademika i stowarzyszonego nie straciłyby na swem znaczeniu, ale ceny obrazów spadłyby znacznie. Ludzie *respectable* przestaliby nawet nabywać „piękno“ w salonach Academy. To też tak zwany „Komitet wieszający“ (hanging comittee) jest troskliwym w ocenie nadsyłanych utworów. Nie ma on żadnych uprzedzeń przeciw kierunkom i sposobom pojmowania sztuki; nie podejmuje żadnej walki o szkołę,

ale dba o dobrą reputacyę domu. To też ilość prac tu wystawionych w porównaniu z ilością, jaka znajduje przytułek w paryskim Salonie, jest nieznaczną; około 800 obrazów i 800 innych dzieł sztuki, włączając w to reprodukcye, są przeciętnym dobytkiem dorocznej wystawy w Academy.

Zaznaczyliśmy wyżej tolerancyę komitetu wystawowego. Natomiast artyści stosują się do wymagań ogółu; nowatarstwo nawet zjawia się w ilości i w formie, jaką siła kupna mecenasów znieść może. Żeby nie być źle zrozumianym, dodaję, iż w żadnym może kraju ogół nie posiada tak dokładnych i zdrowych pojęć o sztuce, jak w Anglii. Publiczność angielska podróżuje wiele, jest z natury chciwą wiedzy i informacyi, wreszcie posiada ona w kraju znakomicie zorganizowaną „propagandę piękna.“ Odbywa się naprzykład w Londynie co rok kilkanaście wystaw dzieł sztuki, zebranych nie dorywczo, ale z systemem, sumiennie i dokładnie wykonanym, mającym na celu zaznajomienie ogółu bądź z oddzielnemi szkołami, bądź też z dziejami pojmowania zasad piękna. Nawet mieszkańcy robotniczych dzielnic miasta mają dokładniejsze pojęcie o niektórych epokach rozwoju sztuki, aniżeli nasz przeciętny czytelnik czasopism ilustrowanych. Ta „propaganda piękna“ jest prowadzona dla ludu przez tak zwane „osady uniwersyteckie,“ dla „inteligencyi“ przez różne stowarzyszenia specyalistów, a ostatnimi czasy nawet przez przedsiębiorców. Niemniej przeciętny syn Albionu ma raczej zmysł dla piękna, aniżeli zmysł piękna. Gorączka fabryczna, która trawiła naród przez całe stulecie, zabiła w nim wszelką zdolność samoistnego rozkoszowania się życiem za obrębem wytwarzania ekonomicznego. Zaszczepiony industryalizm, że użyjemy technicznego wyrazu, zatrzymał wszelkie inne dziedziny życia; nieznaczna zaledwie garstka, niezależna i niezwiązana ze sprawami ekonomicznemi narodu, badała przyrodę, pielęgnowała sztukę, zajmowała się literaturą i nauką. Tymczasem tworzył się współczesny naród Królestwa; tymczasem rasa niemal cała rozwinęła wszystkie zasoby swych sił i co najważniejsza — doszła do ich świadomości I oto świadomy swej siły John Bull chce użyć świata i spożywać owoce z rozkwitłego drzewa poznania. Literatura i nauka stały się odrazu skarbami narodowymi; tak samo i sztuka. Długoletnie wszakże powstrzymywanie się od piękna znieczuliło wrażliwość. Ogół, w którym odezwały się nowe potrzeby, nie chce wszakże iść omackiem. John Bull zanadto jest przyzwyczajony do panowania nad sobą—do *selfcontrol*—aby rzucić się bez pamięci w odmęt nieznanych mu prądów. Przechodzimy więc tu naprzód przez okres rozwijania zmysłu dla piękna.

Temu nastrojowi odpowiada także twórczość artystów. Ich rzeźby i obrazy nie mają polotu, nie uderzają nawet śmiałością, natomiast odznaczają się dokładnem i prawidłowem opracowaniem. Zwykły wykształcony mieszkaniec Brytanii umie ocenić dobrą technikę, a banalność przedmiotu nie razi go bynajmniej. W ten sposób ściany przybytku muz napełniają się utworami, które, pomimo swych zalet, nie mają żadnej wybitnej wartości. Zjawisko to zresztą jest dziś powszechnem. Salon paryski choruje na brak myśli tak samo, jak Academy londyńska; ta ostatnia wszakże robi coraz większe postępy na polu techniki w wykonaniu. Tegoroczna wystawa jest właśnie bogatą w ilość dokładnie wykonanych dzieł, ale żadne z nich nie wstrząsa nami, nie budzi w nas długotrwałych wrażeń. Mamy naprzykład szereg obrazów Leighton'a, prezesa Akademii, które przypominają zawieszone w przedpokojach zamożnego domu litografie i oleodruki: Zamyślone lub wzruszone, siedzące lub leżące brunetki i blondynki mają ucieleśniać spoczynek, bojaźń, zmęczenie itd.; otoczenie tych oderwanych piękności jest prawidłowo wykonane, bogate w lazur nieba, w kawałek morza, w zieleń i w marmur (w takich obrazach musi być kobieta i marmur). Jest i koloryt, jest staranność—ale cóż z tego? Znacznie wyżej stoi Alma Tadema. Jego obraz—„Wiosna“—przenosi nas w świat Rzymu starożytnego, ale nie życiem, jeno szczegółami drobnymi przypomina nam umiegłe dzieje wielkiego i zagasłego ogniska rozwoju społecznego. Herkomer zaczął ostatnimi czasy tworzyć dużo, co tłomaczy nam, dlaczego przechodzimy około jego obrazów prędko, z wiarą, że znajdziemy coś bardziej doskonalego. Z akademików najoryginalniejszym jest Millais. Jego obraz „Och, przemów!“ stanowi prawdziwą ozdobę wystawy. Prośba wychodzi z ust przebudzonego marzyciela, skierowana do znikającego cienia. Millais jest szkotem i umie łączyć nadzwyczajność z realizmem, jak to czynił w swych opowieściach Stevenson. Obok Millais'a należy postawić Swana z jego obrazem „Tygrysy podczas świtu.“ I Swan lubuje się w rzeczach nadzwyczajnych, przyczem pozostaje przy prawdzie i rzeczywistości. Szkoda tylko, że widocznie upodobał sobie tło niebieskie. Na czynione mu zarzuty, zasłania się Velasquezem i innymi, którzy mieli swoje kolory, jak bohaterowie Wagnera mają swe melodye.

Główne baczenie na technikę stało się po części przyczyną zwrotu malarzy angielskich ku portretom. Clausen, Sargent, Lavery, a nawet Watts, alegorysta, występują w tym roku na tem nowem polu pracy, przyczem wszyscy naśladują Bonnata—francuza.

Morze i krajobrazy mają i w tym roku cały legion pracowników. Mark Fisher przoduje wszystkim i jednocześnie wyróżnia się od wszystkich swych kolegów samodzielną poezyą. Clausen pozostaje również oryginalnym, pomimo że chce naśladować Milleta. Jego „Żniwo“ jest jednem z najlepszych dzieł tegorocznego popisu. Clausen usiłuje przedstawić nam żniwiarzy w rozpędzie pracy; Millet usiłował uczynić to samo w swej „Siejbie,“ ale się zawiódł tak samo, jak jego naśladowca. W pierwszej chwili widz jest pod urokiem rozwiniętej siły, a raczej aktu ruchu; niemniej oko zaczyna się nużyć od zawartej w obrazie sprzeczności: ruchu w stanie spoczynku. Inne krajobrazy, np. Murray'a, Leader'a, Leslie, Dicksee, są bez wady, ale mają pospolity nastrój poetycki, jakim go chce mieć rynek. Dawniej panny nasze grywały na gitarze i nastrajały się poetycko, śpiewając: „To brzóz kilka i ta woda, jak mi wiele przypomina....“ Krajobrazy Academy należą do tej samej kategoryi natchnienia.

Watts jest bożyszczem odszczepieńców. Demokrata i alegorysta, skupił naokoło siebie wszystkich niezadowolonych. W sztuce jest on zawsze dydaktykiem, i to w dodatku narodowym. Trzeba mieć wychowanie angielskie, znać na pamięć Pismo święte, śpiewać w niedzielę hymny, odczuwać tradycye purytańskie i pojmować spory teologiczne podczas „ruchu oksfordzkiego,“ aby go zrozumieć. W przeciwnym razie stajemy przed zagadką, na której rozwiązanie tyle tracimy sił, że później przeoczamy najpiękniejsze strony dzieła. Uczniowie i naśladowcy Wattsa, którzy nie mają jego geniuszu i umysłu, są wprost trywialni. Tegoroczna wystawa jest właśnie zupełną porażką alegorystów.

Rzeźba Academy jest niezmiernie ubogą. Przyzwoita ilość biustów przypomina nam raczej korytarze jakiegoś ratusza, gdzie dla szyku tradycyjnego ustawieni są burmistrze w marmurze. Wyjątek stanowią dwie prace: jedna „Orfeusz“ Swana—prawdziwe arcydzieło, druga ma trudne zadanie: w plastyce ucieleśnić „Rozkosz życia“; nazwa dla kobiety tańczącej jest zbyt pretensyonalna, ale tem niemniej Thornycraft może być dumnym ze swego utworu. Publiczność zaś zwiedzająca Academy nabiera ufności do wielkiego dzieła, jakie rząd zamówił u rzeźbiarza, mianowicie posąg Kromwela.

Zaznaczyliśmy wyżej poddanie się angielskich artystów wymaganiom publiczności. Z powyżej rzuconych kilku uwag o nastroju ogółu, o tem, że rozwija on dziś w sobie zmysł dla sztuki, możemy być z góry przekonani, że angielska publiczność obecnie nie jest skłonna do ostracyzmu, do potępienia tej lub owej szkoły. Przeciwnie: zajęcie się jej sztukami pięknemi jest tak wyrozumowane, a zatem przedmiotowe, iż każdy kierunek znajduje zwolenników, obrońców i... popyt. Jeśli istnieje jakiś zatarg, to pomiędzy artystami i krytyką, i to zatarg, który jednej i drugiej stronie szkodę przynosi.

(D. n.).

W. Nadolski.

EDWARD PRZEWÓSKI

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Nie była niespodzianką śmierć Edwarda Przewóskiego. Od paru miesięcy wiedziano, że dotknięty jest suchotami, które przywiózł z sobą do Kijowa z zagranicy, i że najtroskliwsza pomoc jedynie może przewlec powolne konanie. A jednak wiadomość, że tym posępnym przewidywaniom stało się zadość, wywarła na mnie bardzo przykre wrażenie.

Temperamet to był nawskróś dziennikarski, który w rozgardyaszu czuł się, jak w swoim żywiole. Po raz pierwszy poznałem E. Przewóskiego przed laty blizko piętnastu we Lwowie. Pracował on wtedy w jednem z tamtejszych pism codziennych. Udałem się do redakcyi; dopytywał się o znajomych w Warszawie i jednocześnie, półobrócony do mnie, pisał swój wstępny artykuł. Pono tak zawsze pracował. Samotności nie znosił, przynajmniej przy pracy. Tworzył tylko śród gwaru. W Paryżu uciekał z mieszkania do płatnych czytelni, tam wybierał stolik pod oknem, ażeby mieć przed sobą przepływający potok ludzki, i przerzucał dzienniki. Powoli czuł, że pod wpływem otoczenia w umyśle coś zaczyna kiełkować, aż wreszcie chwytał powien temat i rękopis niebawem znajdował się już w skrzynce pocztowej. Jak każdy urodzony publicysta, posiadał on niezmierny talent zamiany najbardziej oderwanej idei na tętniącą życiem teraźniejszości. Pamiętam czasy studyów swoich w Paryżu 1885 r. W kółku przyjacielskiem toczyły się rozprawy o rzeczach, zdawałoby się, zupełnie niezwiązanych z życiem. Były to abstrakcye ekonomiczne i filozoficzne, często zaś zagadnienia, zrodzone tylko z potrzeby młodocianych umysłów dysputowania o czemś, chociażby o tem, o czem dysputować nie było warto. Przewóski w lot chwytał pierwszy lepszy paradoks, a w parę tygodni oglądaliśmy go zamienionym na cały artykuł w którems z pism. Rzeczy najjałowsze, względnie najabstrakcyjniejsze przekształcały się pod jego piórem w coś oddychającego życiem. Doktrynerstwo tam znikało, a występowało coś odmiennego, w czem ktoś nawet, uwiedziony pozorami, mógł dostrzedz brak stałych zasad. Zarobkując piórem i zmuszony pisać do wielu pism, wogóle ściągał on na siebie zarzut, że zanadto dopasowywa się—w pewnych granicach, bo w zasadniczych poglądach nigdy nie spostrzegłem, ażeby się sobie sprzeniewierzył. To dopasowywanie od-

bywało się jakoś żywiołowo. Przewóskiego porywał temperament i niósł na przekór woli. Opowiadał niegdyś, iż pisząc o czemś, tak przejmuje się swoją rolą, iż staje się jakby adwokatem rozbieranej doktryny. Usposobienie jego nieraz mu płatało takie figle. Żyjąc wrażeniami i zmuszony przekuwać je natychmiast na środki utrzymania, nie mógł zcśrodkować myśli swoich na czemkolwiek. Musiał pisać o wszystkiem: o polityce bieżącej i o teoryach naukowych, o prądach w literaturze i o rzeczach ekonomicznych — o jednem z rana, o drugiem po południu. Przychodziło mu to z łatwością dzięki szczęśliwemu charakterowi, ale swoją drogą oddziaływało niekorzystnie. Przewóski zamiast skorzystania odrazu z posiadanego kapitału umysłowego zamieniał go na groszaki i trwonił w drobnej monecie. Werwa jego i dowcip rozpraszały się w urtykulikach, niekiedy nawet niepodpisywanych. Od lat wielu nie było w kraju ani jednego pisma postępowego, w którémby nie pracował. Wartość tych prac jest bardzo różną, jak zwykle bywa w publicystyce, obliczonej na zarobek. Ale są tam też rzeczy cenniejsze, które nie powinny utonąć w zapomnieniu.

K. R. Żywicki.

PAMIĘTNIK.

Najliczniejsze stowarzyszenie.

Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych, obok zwykłego sprawozdania dorocznego, ogłosiło swój „Pamiętnik“ z przeżytego dziesięciolecia. Zawiera on historyę powstania tej instytucyi oraz jej przedsięwzięć dokonanych i niedokonanych. Nie myślimy przeczyć, że pierwszych zebrała się spora garstka i że one — zwłaszcza o ile dotyczą pomocy materyalnej i umysłowej — przyniosły rzeczywisty pożytek; nie myślimy również wymagać, ażeby nawet w ciągu lat dziesięciu „Kraków zbudowano.“ Ale zarówno przy czytaniu „Pamiętnika,“ jak przy obserwowaniu rozwoju tej korporacyi występuje nam przed oczy fakt, że ona ma jakieś dziwnie powolne tempo życia i że stosunkowo do swej wielkości zrobiła niewiele. Pamiętajmy, że Towarzystwo, o którem mówimy, jest najliczniejszem w Warszawie, wykazuje bowiem przeszło 1½ tysięcy członków, podczas gdy inne doroały zaledwie do kilku setek. Tysiąc pięćset ludzi zorganizowanych — to ogrom i siła. Nie dość tego. Ponieważ uczestnikami są nietylko subjekci, ale także t. zw. „pryncypałowie,“ tj. właściciele fabryk, sklepów i domów handlowych, przeto rzec można, że owo Towarzystwo jest również co do majątku swych członków najzamożniejszem. Tymczasem przez cały czas swego istnienia zebrało ono zaledwie 76,396 rs., nastręczyło pracę 795 ludziom, wydało 17.433 rs. zapomóg, udzieliło 379 pożyczek na sumę 15,557 rs., założyło bibliotekę i „podjęło kwestyę“ święcenia niedzieli i nabycia własnego domu. Jak rzekliśmy, jest to coś, ale wobec 10 lat staran i działań instytucyi, posiadającej 1,566 członków — za mało. W tym zbyt skromnym wyniku ujawnia się, niestety, fakt naszej słabej energii we wszystkich stowarzyszeniach, nie mających na celu zabawy i rozrywki (sportu). Gdyby cykliści lub łyżwiarze zgromadzili tak spory zastęp członków, napełniliby hałasem Europę (cały kraj już brzmi ich sławą), jeździliby na elektrycznych maszynach, albo pływali po powietrzu, odziewaliby się, karmili, budowali sobie gmachy, słowem, rozwijaliby jakąś potężną działalność. Na żadną potęgę w Towarzystwie subjektów handlowych i przemysłowych się nie zanosi. Imponują oni tylko liczbą — przedstawiają ciało ogromnego, ciężkiego i spokojnego słonia, który czasem nabierze w trąbę wody i wyleje ją na kogoś — co się nazywa jego „opozycyą.“

Pomoc Brześciowi.

Szybkość i hojność pomocy, jaką Warszawa okazała w nieszczęściu Brześciowi, zasługuje na wysoką pochwałę i jeszcze raz świadczy o dobrem sercu naszego miasta. Dwadzieścia kilka tysięcy rubli bądź w gotówce, bądź w produktach i odzieży, przesłano biedakom, pozbawionym dachu i chleba. Godną zaznaczenia jest również skrzętność, z jaką niektóre pisma zajęły się zbieraniem składek i darów, oraz organizowaniem bezpłatnych kuchni na miejscu. Najobfitszym plonem poszczycić się może *Kuryer warszawski*, który sam jeden ukwestował blizko 20,000 rs. Ale stwierdzając tę jego zasługę, żałujemy mocno, że on ją niepotrzebnie oszpecił zbyt jaskrawą dla siebie reklamą. Włożywszy drobną cząsteczkę własną w powierzoną mu sumę, tak natarczywie przypinał swój tytuł do każdego sprawunku i każdej czynności, w której jego delegat był tylko szafarzem cudzych pieniędzy, jak gdyby ofiarodawcy byli w tej sprawie jego asystentami, a on dobroczyńcą pogorzelców. Trudno całą tę paradę zapisać na rachunek niezręczności sprawozdawcy, boć przecie redakcya mogła ją była z artykułów usunąć. Do jakiego stopnia zaś on wobec głodu, cierpień i rozpaczy pamiętał o *Kuryerze*, dość powiedzieć, że wzmiankując o jednym z energiczniejszych uczestników ratunku, nie zapomniał dodać, że jest „stałym czytelnikiem *Kuryera*.“ Doprawdy, trzeba posiadać dużo zimnej krwi, bezwrażliwości i przywiązania do ogonka swej pliszki, ażeby go reklamować na tlejących zgliszczach paru tysięcy domów.

Postępy.

I w obecnym roku tutejsze drogi żelazne posunęły się znacznie naprzód w wygodach dla publiczności. Mamy tedy bilety: sezonowe, miesięczne, na 20 przejazdów, powrotne i spacerowe. Oczom i uszom nie chce się wierzyć, że róg Amaltei wysypał nam aż tyle łask odrazu. Najdalej, zdaje się, poszła w swych ulepszaniach kolej Terespolska, która sprzedaje książeczki z 20 biletami z ustępstwem 40 kilku procentów i pozwala za nimi jeździć bez stemplowania, bez ograniczenia liczby osób, we wszystkich pociągach, prócz kuryerskich. Jeżeli zważymy, że kolej Petersburska wymaga od nabywających podobne książeczki dołączenia fotografii, stwierdzającej tożsamość osoby, której jedynie z tego dokumentu korzystać wolno, to łatwo ocenimy wyższość prywileju, nadanego przez kolej Terespolską. Ale na nieszczęście, jak wszystkie u nas tego rodzaju ulgi, i ta dostała się w ręce spekulantów, które ją mogą udaremnić. Ponieważ różnica między ceną biletu zwyczajną i książeczkową jest znaczna, więc w wagonach odbywa się formalny handel. Przekupień, któremu jeden bilet w książeczce wypada 40 kop., sprzedaje go za 60, a niektórzy z nich zyskują nabywców tak umiejętnie, że zużywają odrazu całą książeczkę, zarabiając przytem parę rubli. Jeżeli zarząd kolei przewidział tę manipulacyę i przyjął ją w rachubę, niech ona się odbywa. Ale gdyby publiczność dzięki niej stracić miała bardzo ważną dla siebie wygodę, należałoby położyć tamę nadużyciu. Niepodobna bowiem, ażeby ogół był ciągle pozbawiony najprostszych i najsłuszniejszych dobrodziejstw dlatego tylko, że gromada szachrajów ciągnie z nich korzyści.

Projekt.

P. Jerzy Moszyński rzuca w *Słowie* myśl godną zaznaczenia. Z powodu odezwy prezesa komisyi do opracowania ustaw sądowych, oświadczającej gotowość przyjęcia wszelkich rad i wskazówek, zwłaszcza opartych na doświadczeniu, autor zwraca uwagę na szkodliwy zwyczaj prawny naszych sądów gminnych, które przy podziale majątku między spadkobierców włościańskich zobowiązują utrzymującego się przy posiadaniu ziemi (ustawa nie pozwala osad takich dzielić na mniejsze, niż 6-morgowe) do spłacenia współdziedziców w ciągu *jednego miesiąca*. Chłop jest chciwy na ziemię, ma nadzieję, że wysiloną pracą i oszczędnością zdobędzie wymaganą sumę, najczęściej jednak albo zaciąga uciążliwą pożyczkę, albo po czterech tygodniach zostaje pozbawiony gruntu drogą sprzedaży przymusowej, w której traci nawet to, co miał i otrzymał. Otóż p. M. radzi, ażeby do nowych ustaw sądowych wprowadzono następujące przepisy: „1) Sądowi gminnemu wolno tylko w tym razie przyznać grunt jednemu ze współspadkobierców, jeżeli tenże wykaże przed sądem, że ma zapewniony fundusz, czy to własny, czy z pożyczki na spłatę. 2) Termin do uiszczenia spłaty musi być co najmniej roczny. 3) Gdyby żaden ze spadkobierców nie posiadał funduszu na spłatę, w takim razie sąd ma nakazać sprzedaż gruntu i podział gotówki, do czego zostawia się sukcesorom rok czasu, poczem dopiero na żądanie jednego ze współspadkobierców nastąpić ma sprzedaż w drodze sądowej licytacyi.“ W ten, czy w inny sposób należałoby rzeczywiście pomyśleć o zabezpieczeniu owych właścicieli sześciomorgowych majoratów od ruiny, w którą wpadają zbyt często. Nie wiemy, czy i o ile prawnicy nasi odpowiedzą na wspomnianą odezwę prezesa komisyi kodyfikacyjnej; ale nie chcemy nawet przypuścić, ażeby oni zachowali się wobec niej biernie i nie skorzystali ze sposobności przedstawienia potrzeby słusznych zmian w stosunkach prawnych naszego społeczeństwa.

Trochę rozwagi

Jeden z naszych korespondentów zagranicznych pisze:

„Że po za utworami Sienkiewicza współczesna literatura polska prawie nie istnieje—o tem krytyka nasza już dawno zawyrokowała; że on pisuje samo arcydzieła— w to również wierzymy. Ale żeby ten wyrok i tę wiarę potrzeba była jeszcze wzmacniać ściąganiem z całego świata i ogłoszaniem zdań przeróżnego drobiu literackiego, to nam nie wydaje się koniecznem. Rzadkim jest numer pisma warszawskiego, nie donoszący, co ktoś powiedział o Sienkiewiczu. Gdyby w tej nieskończonej antologii były sądy autorów znakomitych, czytalibyśmy je z ciekawością i może z korzyścią. Skoro wszakże cherubowie chwały naszego jedynego boga literatury otrębują hymny obcych reporterów i brukowych fejletonistów, zaczyna nam być już tak ckliwo, że aż *Echo muzyczne* straciło wypróbowaną cierpliwość i po przytoczeniu banialuk krytyka francuskiego zapytało, gdzie on w *Rodzinie Połanieckich* wynalazł rozwiązanie jakichś głębokich zagadnień? Jeżeli w tej wielkiej sprawie wolno zabierać głos małym, radzilibyśmy w niej trochę rozwagi i umiarkowania, na czem Sienkiewicz nic a nic by nie stracił, a może by nawet zyskał uznanie ludzi, którzy go ciągle widzą ośmieszonego przesadną chwalbą.“

Nasz „klub cudzoziemców.“

Mamy go. Różni on się jednak od monakijskiego znacznie. Przedewszystkiem ilością pieniędzy, przechodzących przez ruletę. 119,600 rs., któremi „obracano“ w totalizatorze podczas wyścigów niedzielnych, to dla banku w Monte-Carlo drobnostka. Dalej nie mamy jeszcze na polu Mokotowskiem pysznych sal do gry, wspaniałych koncertów i samobójców, których admini-

stracya szybko uprząta, ale powoli i to się znajdzie. Gdyby dziś jakiś fryzyerczyk, który się zgrał, zażądał od totalizatora odczepnego na koszt podróży tramwajem lub obiad, wyśmianoby go; ale gdy w przyszłości jakiś sportsmen straci w „okienku“ cały majątek, dostanie wsparcie. Dotychczas kilka tysięcy ludzi, przeważnie biednych, spłukuje swoje kieszenie w bazardzie — to dopiero początek, fundamenty przyszłej instytucyi, jeżeli władze, czuwające nad moralnością publiczną, pozwolą jej wznieść się. Tymczasem rozwiązujemy sobie zagadkę: dlaczego jakaś „ciemna egzystencya,“ urządzająca w bawaryi lub mieszkaniu prywatnem grę hazardową, idzie do kozy, a totalizator uprawia tę samą sztukę jawnie i bezkarnie?

W DALI.

Łódź. Przemysłowców łódzkich wzruszyła wieść o bankructwach w Homlu. W ostatnich dniach zawiesiło tam wypłaty około 20 kupców, którzy byli odbiorcami fabryk łódzkich.—*Now. Wr.* zamieszcza następującą notatkę: „Wprowadzenie w guberniach wewnętrznych państwa książeczek paszportowych, które wymagało wielkiej ilości perkalu kolorowego, pociągnęło za sobą nieprzewidziane przesilenie w świecie introligatorskim. W obrębie państwa istnieje tylko jedna fabryka, wyrabiająca perkal introligatorski, a mianowicie w Łodzi. Korzystając z wysokiego cła od perkalu zagranicznego, fabryka ta podniosła nagle ceny swojego produktu o 40—50%, pogorszywszy jednocześnie gatunek wyrobu. Za pomocą tego prostego sposobu fabryka urządziła sobie wyborny benefis na rachunek tych, którzy mają do czynienia z książkami. Gdy przed dwoma laty firma ta, mając konkurenta w Moskwie, sprzedawała ciemny perkal najwyżej po 11 rs., a jasny po 16 rs. 50 kop., obecnie za ten sam w gorszym gatunku żąda 16 rs. 50 kop. i 22 ruble. Sprowadzaniu perkalu zagranicznego staje na przeszkodzie wysokie cło: za kawałek długości 50-iu arszynów, w cenie 7—9½ rs., trzeba płacić po 16 rs. Wobec jawnego wyzysku monopolisty, introligatorowie petersburscy i moskiewscy podają, jak się dowiadujemy, prośbę do p. ministra skarbu o zniżenie cła od perkalu zagranicznego. Rzeczywiście przy istniejącem obecnie cle nietyle zyskuje przemysł wewnętrzny, ile wypadkowy monopolista.“

Lublin. Tow. dobroczynności w Lublinie liczy członków rzeczywistych 316 i 95 ofiarodawców. Małe poparcie ze strony mieszkańców sprawia, że Towarzystwo bilans swój od lat kilku zamyka stale niedoborem.—Dawno pożądana nowa numeracya domów w Lublinie w czyn się zamienia: pierwszy transport numerów przybito na domach przy ulicy Krakowskie Przedmieście.—Handel drzewem rozwija się. Sążeń drzewa sosnowego kosztuje obecnie 11 rs. — Jeden z ziemian w gub. lubelskiej zakłada plantacyę borówek na większą skalę. Założenie plantacyi takiej nie pociąga za sobą kosztów dużych, ani trudności. Obliczono, że z pół morga można zebrać w lipcu do 60 centnarów, zaś w październiku z drugiego zbioru do 20 centn. borówek. Licząc centnar po rs. 3, dochód brutto wyniósłby rocznie przeszło 200 rs., zaś około 120 rs. netto. Borówki należy siać w październiku. Zasiewa się je rzędami, wrzucając ziarnka w rowki, mające 3 do 4 cali głębokości. Na obsianie pół morgi potrzeba 32 funt. nasienia.

Radom. Tegoroczny jarmark na konie zapowiada się bardzo dobrze; spodziewani są nabywcy zagraniczni. — Ceny placów w Radomiu (np. przy ul. Długiej lub Szerokiej) wynoszą 50—60 kop. za łokieć kwadr., a na Prędocinku 6 kop. W tej ostatniej miejscowości, oraz na Glinicach powstaje wiele domów i domków, które jako leżące za obrębem miasta, będą wolne od podatków miejskich. Na Prędocinku założył nadto p. Gierycz cegielnię. — Jeden ze specyalistów pirotechników zakłada w Radomiu fabrykę ogni sztucznych.—W pow. iłżeckim z pomocą Banku włościańskiego rozparcelowano kilka majątków ziemskich, a między innymi Niziny p. Ostrowskiego, Wólkę Pętkowską p. Reklewskiej i Okół p. Arkuszewskiego.

Petersburg. W tych dniach odbyło się pierwsze posiedzenie trzeciego zjazdu producentów mąki. Roztrząsano projekt uchwały o wszechrosyjskich zjazdach producentów mąki, opracowany przez pełnomocników drugiego zjazdu. Zjazd jednomyślnie oświadczył się za utrzymywaniem stałego biura centralnego, z warunkiem, ażeby przynajmniej w ciągu trzech pierwszych lat była ustanowiona obowiązująca stała opłata, i uchwalił, ażeby w tym duchu poczynić starania u ministra skarbu. Do obowiązkowych wydatków zjazd zaliczył także wydawanie organu, poświęconego wyłącznie interesom przemysłu mączarskiego — Otwarto też posiedzenia zjazdu przedstawicieli kolei rosyjskich.—Zdawał tu sprawę z wycieczki do Afryki p. Felisiejew, który należał do ekspedycyi Leontjewa. Wycieczka ta miała na celu zbadanie wschodnich części Abisynii, w wielu miejscach znajdujących się w stanie zupełnie pierwotnym.—Zarząd m. Petersburga obostrzył przepisy, obowiązujące fabrykantów co do wypuszczania z kominów fabrycznych gęstego dymu; obostrzenia w tej mierze są poczynione w celu ochrony miasta od sadzy.

Nowa sól. W Turkiestanie odkryto Bardymkulskie kopalnie soli, położone w prowincyi Ferganskiej o 300 wiorst od Samarkandy, niegdyś stolicy Tamerlana. Sól ta (w ilości około 237,600,000 pudów), według analizy profesora Bekietowa, jest chemicznie najczystszym kryształem śród istniejących dotychczas gatunków.

Według analizy akademika Belsztejna, sól angielska z kopalni Norwitch, uważana dotąd za najlepszą, zawiera w sobie następujące składniki:

Natr. Chlor. (czysta sól)	98,32500%
Magn. Chlor.	0,01875%
Calc. Chlor.	0,00625%
Calc. sulf. (gips) . .	0,65000%
Nierozpuszczalnego osadu	1,00000%

Co się zaś tyczy zawartości innych powszechnie używanych soli, to z analizy porównawczej laboratoryum przy ministeryum skarbu, widzimy, że zawierają one czystej substancyi:

Bachmucka	95,51%
Brańcowska	98,59%
Krymska:	
Baszorek Kirej	88,28%
jeziora Saskiego nr. 1 .	97,34%
„ „ nr. 2 .	96,97%
Ilecka	96,50%
Astrachańska:	
Czapczaglińska . . .	95,30%
jeziora Szamińskiego .	3,45%
Małego Korduańskiego .	9,15%
Wielkiego Basińskiego .	1,10%
Usolska hr. Stroganowa .	96,28%
Baszuńczadzka	99,30%

Oprócz wskazanych procentów czystej zawartości soli w jednostce miary każdego powyżej przytoczonego gatunku, zawierają one od 0,05%—2.89% pierwiastków nierozpuszczalnych i od 0,63%—78,48% bezwarunkowo szkodliwych dla zdrowia.

Stąd łatwo przychodzimy do wniosku, że dotychczas zupełnie nie było w użyciu soli bezwzględnie czystej, z jakiej dziś już można korzystać dzięki kopalniom Bardymkulskim.

Obok przewidywanych korzyści praktycznych, kopalnie te zbogaciły naukę, obalając panujące dotąd mniemanie, że sól jest produktem procesu ogniowego; w kawałach bowiem kryształu nowej spostrzeżono zawartość płynu wody, jak przypuszczać należy, od kilkudziesięciu tysięcy lat tam się znajdującej.

J. Tański.

SPRAWY EKONOMICZNE

URUCHOMIENIE WŁASNOŚCI ZIEMSKIEJ *).

Pan W. Rudnica-Daniszowski jest gorącym obrońcą większej własności ziemskiej, która dla niego stanowi w zakresie stosunków rolnych najwyższą formę ekonomiczną. Po za nią niema zbawienia dla rolnictwa. W ciągu dwóch tomów zaprząta go to samo pytanie, mianowicie, czy owa własność posiada w sobie dostateczne siły żywotne, któreby zdołały ją podźwignąć z dzisiejszego upadku i pchnąć na drogę postępowego rozwoju, oraz w jaki sposób można by było się przyczynić do przyśpieszenia tej chwili. Wszystkie myśli autora obracają się około tej osi. Niekiedy prowadzi on nas po istotnych manowcach i wertepach, na których, zdawałoby się, i on i czytelnik zapomnieli o zasadniczym wątku książki, ale ostatecznie zawsze jakoś powracamy do kwestyi ratowania wielkiej własności ziemskiej. Autor ani chwili nie powątpiewa o tem, że posiada ona w sobie zdrowe zarodki, zapewniające jej miejsce w organizmie gospodarstwa narodowego nietylko w niedalekiej przyszłości, ale na wieczne czasy.

Wielka własność znajduje się obecnie w złym stanie, dotknięta ogólnie niedomaganiem. Nasz rzecznik interesów zamożnego ziemiaństwa zapuszcza się w rozbiór czynników, które złożyły się na dzisiejsze przesilenie rolne. W Europie zachodniej widzi on kilka przyczyn tego stanu. Majątki ziemskie zanadto rzuciły się do melioracyj i w nich ulokowały znaczne fundusze, zwykle pożyczone, a tymczasem dochody z roli nie wzrosły w odpowiednim stosunku. Skutkiem tego obciążyły się długami nieprodukcyjnej natury, chociaż zaciągniętymi na cele produkcyjne. Jednocześnie, w następstwie powyższych wkładów, rozmiary produkcyi rolnej podniosły się we wszystkich jej gałęziach. Na rynku znalazło się więcej wytworów, aniżeli wymagały jego potrzeby, ceny spadły, kapitały obrotowe wyczerpały się, i znowu trzeba było uciekać się do zaciągania pożyczki. Wreszcie zmniejszyły się rozmiary spożycia, co wypływa z ogólnego zubożenia. Do tego dodaje p. W. R. D. jeszcze konkurencyę zamorską, ale uważa ją, co jest rzeczą jak najsłuszniejszą, tylko za szczególny objaw wzrostu powszechnej dążności do nadprodukcyi i niejako za konieczność dziejową, której nie odwrócą cła zbożowe, ani inne podobnego rodzaju środki zaradcze.

Tak wyglądają sprężyny upadku własności większej na Zachodzie; do nich, na Wschodzie przybywa jeszcze kilka czynników specyalnych, związanych z reformą uregulowania stosunków włościańskich. Zmiany te zastały ziemian bez dostatecznego kapitału obrotowego, niezbędnego dla prowadzenia gospodarstwa po uwłaszczeniu; trzeba go było pożyczyć u lichwiarzy, którzy odtąd obywatela nie wypuszczają ze swoich szponów. Powyższa reforma stworzyła nadto na wsi brak siły roboczej (widocznie dla autora niska cena robotnika wiejskiego jest jeszcze za wielką). Wszystko to sprawiło, że niedomaganie na Wschodzie przybrało postać jeszcze bardziej zaostrzoną. Słowem, zewsząd sypały się i sypią na ziemianina klęski, każące mu poszukiwać ocalenia w zaciąganiu nowych pożyczek, a odłużenie zaciążyło nad własnością większą i wysysa z niej wszystkie soki żywotne.

*) Tom I, str. 320; tom II, str. 343.

Już z powyższego widać, że owo odłużenie na niekorzystnych warunkach jest u p. W. R. D. jedynym sprawcą wszystkich nieszczęść i że tylko z tej strony będzie on poszukiwał środków ratunku. Wszakże idzie on jeszcze dalej, bo zwraca się przeciwko receptom, zalecającym podniesienie wydajności ziemi i zniżenie cen produktów, niepomny, że to wypływa przymusowo z konkurencyi zamorskiej, której pochodu nic nie zdoła powstrzymać. Autor w teoryi, doradzającej ziemianom produkować tanio a dużo, widzi wprost wcielenie złego. Jego zdaniem, rolnik powinien dążyć do wytwarzania jak najmniej towaru, posiadającego natomiast na rynku wysoką cenę. Ziemianin, który trzyma się innej zasady, tem samem pracuje nad własną ruiną, bo wszelki wzrost wytwórczości wywoła jedynie spadek cen na rynku. Z tego punktu widzenia potępia on również melioracye, przynajmniej takie, które są dokonywane za pożyczki o wysokich procentach. Wogóle, jak rzekliśmy, p. W. R. D. rozpatruje rzecz w oderwaniu od stosunków rynkowych. Konkurencya zamorska, produkując w dogodniejszych warunkach, sprzedaje płody po niższej cenie. Rolnik europejski albo musi urządzić swoje gospodarstwo tak, ażeby koszty produkcyi odpowiednio spadły i uzdolniły go do dalszego współzawodnictwa, albo też sprzedawać swoje wytwory poniżej kosztu, tj. tracić. Istnieje więc pewna pobudka, przychodząca z zewnątrz, ale jednak nie uwzględniona przez p. D. Ostatecznie, udzieliwszy rady produkowania zboża w małej ilości, oraz niewdawania się w melioracye bez odpowiedniego na to kapitału (które zresztą są dla niego zjawiskiem niesympatycznem, jako podnoszące zaofiarowanie produktu), autor zwraca się do kredytu, którego ułatwienie zawiera całą tajemnicę ratunku stanu ziemiańskiego. W jednem miejscu swojej książki wyraźnie oświadcza, iż wszystkie środki ocalenia własności większej polegają na takiem dostarczaniu kapitałów, któreby swoją formą umarzania i wysokości pobieranych odsetków umożliwiło rolnikowi pozostanie na swojej ziemi. Jak tego dokonać? Trzeba uruchomić ziemię— brzmi krótko a zwięźle odpowiedź. Uruchomienie to, jak tłomaczy p. D., polega na zamianie wartości całej ziemi oraz sprzętów i inwentarza, na kapitał bieżący, który mógłby się znajdować w czyjemkolwiek ręku i zmieniał właścicieli. Koleje żelazne, tłomaczy nam autor, są już w takim stanie. Nieruchoma wartość drogi oraz nawet część ruchoma zostały rozdrobnione na akcye, które krążąc po szerokim świecie, przechodzą swobodnie z rąk do rąk, przedsiębiorstwo zaś tymczasem rozwija się, bez względu gdzie i w czyjem posiadaniu znajduje się uruchomiona wartość. Ziemia nie doszła jeszcze do takiego rozwoju, i to właśnie stanowi główny powód jej niedomagań. To też będzie ona znajdowała się w ciągłym braku kapitalistów i na łasce drobnych wierzycieli, póki nie zdobędzie się na krok stanowczy i nie pójdzie po drodze, utorowanej przez przemysł. Takie uruchomienie własności ziemskiej dałoby się osiągnąć przez obciążenie jej listami (o ile jest zadłużoną) aż do ostatniego kresu wartości szacunkowej ziemi, nie jak w Towarzystwie kredytowem, które nie pozwala na przekroczenie pewnej granicy odsetkowej, oraz przez zamianę inwentarza i kresencyi na podobnie ruchome dowody. I nieruchoma część majątku ziemskiego w całej swojej rozciągłości, i jego część ruchoma powinny zostać zamienione, a przynajmniej mieć prawną możliwość zamiany na papiery, krążące swobodnie pomiędzy kapitalistami. Pozwolę sobie własnemi słowami uwydatnić myśl autora. Otóż sądzimy, iż nie rozminiemy się z jego zasadniczymi zamiarami, jeśli powiemy, że pragnąłby on całą wartość majątku zamienić na listy zastawne („dłużne," jak sam powiada), tak, iż ten lub ów obywatel faktycznie, prócz tytułu posiadania, nie miałby ani źdźbła własności, oraz wyrazić w podobny sposób wartość inwentarza i kresencyi. Rzeczywiści właściciele majątku, rodzaj akcyonaryuszów, byliby rozproszeni po świecie, pobierając stały procent od swoich listów dłużnych; w liczbie ich znajdowaliby się także sukcesorowie, prawny zaś właściciel byłby niejako dyrektorem zarządzającym, lub jeszcze lepiej dzierżawcą takiego zbiorowego, bezimiennego majątku, zobowiązanym opłacać stałą tenutę, idącą na zaspokojenie procentów, umorzenie kapitału oraz utrzymanie organizacyi pośredniczącej, po za tem zaś pobierającym resztę dochodów na własną korzyść. Byłby to ideał uruchomienia.

Autor nie poprzestał na teoretycznem skreśleniu swoich życzeń, lecz przyoblekł je w szaty rzeczywistości pod postacią banku hypotecznego, który udzielałby pożyczek na pozostałą część szacunku, nie uwzględnianą przez Towarzystwo kredytowe ziemskie. W tej mierze przygotował on ustawę drobiazgową. Obywatele każdej gubernii zawiązaliby odpowiednie towarzystwo, złożywszy stosowne, względnie nieznacznej wysokości kwoty pieniężne. Powstałby tą drogą odrazu kapitał zakładowy, wynoszący około kilkuset tysięcy rubli, z którym bank mógłby rozpocząć swoją działalność. Wykupowałby on mianowicie za gotowiznę wierzytelności (względnie schedy), ciążące na majątku, wzamian zaś wydawałby listy dłużne tym, którzy złożyli fundusze. Listy te krążyłyby tak samo, jak zastawne. Pożyczki zajmowałyby odpowiedni numer hypoteki do całej swojej rozciągłości aż do zupełnej spłaty.

Tak wygląda jądro wywodów pana W R. Daniszewskiego, zatopione w mnóstwie dociekań zgoła obojętnych lub niepotrzebnych. Pragnąłby on unicestwić dzisiejsze obdłużenie prywatne aż do granicy szacunku majątku i zastąpić je przez pożyczki w banku hypotecznym. Każdy ustęp książki jego przekonywa nas o tem, że pragnąłby on ziemianom przysporzyć nieba. Ale aż nazbyt często widać, iż zapomina o tem, jak spojrzą na jego zamiary kapitaliści. Podnosimy ten zarzut bynajmniej nie po to, ażeby kłuć w oczy p. W. R. D. jego stanowiskiem samolubno-klasowem, ale ponieważ nieuwzględnienie interesów przeciwnej strony czyni do pewnego stopnia z projektu utopię. Jak wiemy, dąży on do zamiany całego szacunku majątku na listy dłużne, pobierające taki procent, iż dzierżawca, zwany właścicielem, prócz spłaty czynszu, otrzymywałby jeszcze coś do swojej kieszeni. Rzecz to byłaby możliwą w tym wypadku, gdyby grunta wciąż podnosiły się w swojej cenie bo wtedy kapitalista, lokując swój kapitał w ziemi, byłby pewny, iż umieściłby go na niezawodnej hypotece. Ale co będzie, jeśli cena ziemi zacznie spadać? Autor potrąca o tę możliwość, ale z góry orzeka, że podobnego rodzaju zniżka nie może długo się przeciągnąć. Niepodobna nam zgodzić się na to zdanie. Według naszej znajomości sił ekonomicznych, dzisiaj działających w rolnictwie, jesteśmy raczej skłonni mniemać, iż od przyszłości trzeba oczekiwać dalszego wzrostu nadprodukcyi i wypływającego stąd spadku cen ziemi. Naówczas kapitalista, posiadający listy dłużne, wciąż będzie zagrożony, iż pewna część kapitału, umieszczonego w tak chwiejnych papierach, może przepaść dla niego niepowrotnie. Projekt p. W. R. D., praktyczny i pożyteczny w pewnej rozciągłości, tj. do pewnej normy poniżej kresu szacunkowego, zamienia się na mrzonkę, kiedy przekroczył należytą granicą, myśląc o zamianie całej wartości majątku na uruchomione papiery. Praktyczny?— w jakim stopniu. Nie wątpimy, że obrońcy własności ziemskiej w sąsiednich Niemczech z niechęcią spojrzeliby na projekt pana W. R. D. Nasi bowiem teoretycy za mało oddają się studyom nad tem, co wyrozumowali ich współtowarzysze zagraniczni, posiadający daleko więcej doświadczenia. Zarzut ten dotyczy również naszego projektodawcy. Stworzył on oryginalną teoryę, bo bezwarunkowo jest ojcem swoich wywodów. Uwzględnił interes ziemiaństwa, i tylko ziemiaństwa—do tego stopnia, że wpadł aż w utopię. Ale swoją drogą zdołałby się wywiązać z swego zadania daleko lepiej, gdyby przyjrzał się nieco cudzym bogom. Ziemianie niemieccy także domagają się zorganizowanego kredytu aż do wysokości całego szacunku dóbr ziemskich wraz z inwentarzem i nawet portretami pod postacią portretów pradziadów. Wykreśliliby oni z projektu p. D. umarzanie kapitału, żądają bowiem pożyczki nieamortyzującej się. Dowodzą, że każdy dług, który poszedł na melioracyę majątku względnie na działy (teoretycy ziemiańscy nie przyznają innych powodów odłużenia) spoczywa w ziemi pod formą niezwracającą się. Spłata takiego kapitału—to w ostatecznym rezultacie oddawanie kawałka majątku po kawałku. A zatem kapitał, spoczywający w ziemi pod postacią dren, zaprowadzonych płodozmianów itd., niechaj tam na zawsze leży, wierzyciel zaś niechaj otrzymuje tylko odsetki. Życzenia te przewybornie pasowałyby do arsenału wywodów p. D. Jeśli ich nie uczynił, to tylko dla tego, że pisał recepty dla swojskich potrzeb i przyrządził ją w swojski sposób, tj. bez poznajomienia się z cudzem doświadczeniem.

Ż.

— Telegram „Ruskiej agencyi telegraficznej" donosi pod datą 26 z. m.: „Zgodnie z najwyżej zatwierdzoną d. 14 maja decyzyą Rady państwa, rządowa sprzedaż wódki będzie zaprowadzona: d. 13 lipca 1896 r. w guberniach: besarabskiej, wołyńskiej, ekaterynosławskiej, kijowskiej, podolskiej, taurydzkiej, chersońskiej i czernihowskiej; d. 13 lipca 1897 r. w guberniach: wileńskiej, witebskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, mińskiej, mohylowskiej i smoleńskiej. W Królestwie Polskiem postanowiono wprowadzić monopol nie później, niż 13 stycznia 1898 r. Jednocześnie z wprowadzeniem skarbowej sprzedaży trunków w wymienionych guberniach, będą wprowadzone rady opiekuńcze wstrzemięźliwości."

— Mennica petersburska wypuści wkrótce w obieg 20 milionów srebrnych rublówek.

— W *Prawit. Wiest.* ogłoszono postanowienia o tranzakcyach na rosyjską monetę złotą i o utworzeniu państwowej komisyi umorzenia długów.

O PRAWDĘ.

Matematyka w ekonomice.

(Odpowiedź panu K. R. Ż.)

Przeważna część ekonomistów dzisiejszej doby żywi niczem nieuzasadniony wstręt do matematyki i wszelkie usiłowania w kierunku zastosowania tej nauki w ekonomice traktuje z góry z uprzedzeniem, zasłaniając swoje stanowisko takimi np. ogólnikami, że życie społeczne zawisło od zbyt wielu różnych czynników, które ściśle oznaczyć trudno itp.

Ja natomiast mniemam, że właściwym powodem takiego nieporozumienia w nauce może być tylko ta okoliczność, że naukę gospodarstwa społecznego przekazano na wszechnicach wydziałom prawniczym, których słuchacze nie mają nietylko sposobności do dalszego kształcenia się w naukach ścisłych, lecz, co gorsza, zapominają nawet tych pojęć z matematyki i nauk przyrodniczych, które przyswoili sobie niegdyś w szkołach średnich.

Nie można się więc zgoła dziwić temu, że nauka gospodarstwa społecznego zamiast być umiejętnością ścisłą o jednolitej teoryi, przedstawia jeszcze po dzień dzisiejszy pole walki, na którem ścierają się różne pojęcia i definicye; trudno bowiem żądać od ekonomisty-prawnika, aby się wyrzekł metody, którą sobie przyswoił, a natomiast traktował przedmiot z matematyczną ścisłością, podobnie jak to czynimy np. w fizyce. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że walka toczy się o przeróżne drobne szczegóły, podczas gdy tła ogólnego, na którem musiałyby one jasno wystąpić, niema zupełnie. Stąd tyle szkół ekonomii społecznej i tyle różnych sprzecznych definicyj na jeden i ten sam temat.

Są oczywiście między temi definicyami i takie, które jako owoc prawdziwego natchnienia wielkich ludzi społeczeństwo miłujących, odpowiadają rzeczywistości, tak, że matematyczne rozumowanie może tylko wykazać ich rzetelność; nie da się jednak zaprzeczyć, że istnieją w ekonomii społecznej po dzień dzisiejszy i takie określenia, które żadną miarą nie wytrzymują krytyki ścisłego rozumowania. Weźmy np. pod uwagę takie ciekawe i bardzo ważne zjawisko społeczne, jak istnienie odsetków. Definicya ekonomii społecznej w tej mierze opiewa: „Odsetkiem nazywamy wynagrodzenie, płacone za użycie kapitału.“ To znaczy, że przyczyną istnienia odsetków jest użycie obcego kapitału. Dla prawnika, roztrząsającego np. jakiś spór o odsetki, jest powyższa definicya zapewne wystarczająca, bo w tym wypadku może obowiązywać chwilowo prawo zwyczajowe. Ściśle jednak rzecz biorąc, jest owa definicya zupełnie podobna do takiego np. określenia: „Deszcz powstaje wskutek zjawienia się czarnej chmury.“ Prawda, że najbliższą przyczyną deszczu jest zwykle czarna chmura, najbliższą zaś przyczyną istnienia odsetków zwyczaj żądania zapłaty ich ze strony właściciela kapitału; atoli matematyk musi z jednej strony zadać sobie pytanie, skąd się wzięła owa czarna chmura, z której powstał deszcz, z drugiej strony zaś musi również zastanowić się nad tem, skąd pochodzi zwyczaj żądania odsetków, czy ten zwyczaj odpowiada rzeczywiście, nietylko chwilowo, społecznym potrzebom, w jaki sposób wogóle powstają odsetki i od jakich czynników zawisła ich wysokość.

Różnica w rozumowaniu polega właśnie na tem, że matematyk szuka zawsze najdalszej, tj. zasadniczej przyczyny każdego zjawiska, podczas gdy ekonomista prawnik zadowala się wyszukaniem przyczyny najbliższej, byleby *chwilowe* stosunki istnienie tej przyczyny usprawiedliwiały (np. zwyczaj). Stąd pochodzi nietrwałość stawianych przez różnych autorów tez ekonomicznych i ciągłe ich zmiany.

Usiłowania matematyków, podjęte gwoli odkrycia prawdy, nie znalazły jednak, niestety, dotychczas sprzymierzeńców w obozie ekonomistów-prawników. Zamiast badać sumiennie nasze publikacye i pracować z nami wspólnie dla osiągnięcia celu, okazują nam ekonomiści-prawnicy na każdym kroku niechęć, a zbyt często nawet lekceważenie w postaci takich np. uwag: „Niestety, dzieło p. X. jest przepełnione formułomi matematycznemi, utrudniającemi czytanie“ itp., tak, jak gdyby umiejętność, wykładana na wszechnicach, miała być przystępna równocześnie także dla ucznia szkoły ludowej.

Trudno walczyć z uprzedzeniem wogóle—tem trudniej jednak, jeżeli zbyt uprzedzony czy też niechętny krytyk, zamiast być ściśle przedmiotowym, stara się koniecznie wartość pracy autora obniżyć, i to frazesami, wykraczającymi po za granice, w których wzajemny szacunek pomiędzy ludźmi pracy zamykać się winien.

Że szanowny krytyk, podpisujący się literami K. R. Ż., należy również do owych „z góry uprzedzonych,“ to wnioskuję chociażby tylko z jego własnego dziwnie smutno brzmiącego zapewnienia, że „los kazał mu kończyć matematykę i siedzieć lat parę nad zawiłymi dziwolągami.“

Obok tego uprzedzenia muszę szanownemu krytykowi wytknąć, że do oceny mojej pracy nie zabrał się tak, jakby to był uczynił matematyk, nie żałujący swojej przeszłości, a znający rozmaite królowej nauk zastosowania. Zaraz to twierdzenie udowodnię.

Najważniejsze momenty w mojej pracy są następujące:

1). Gospodarstwo społeczne jest funkcyą, której zmiana przejawia się w przybytku lub ubytku społecznego mienia.

2). Jedyną zasadniczą przyczyną zmiany społecznego mienia jest wzrost lub ubytek ludności.

3). Wartością społeczną jest sam człowiek, który tworzy mienie społeczne; liczebnym wyrazem tego mienia jest suma produkcyi.

4). Ustawiczne narastanie społecznego mienia jest przyczyną istnienia odsetków.

5). Czynnik mnożący mienie społeczne, t. j. czynnik procentujący (wzór 4), jest liczebnym wyrazem społecznego natężenia.

6). Natężenie społeczne maleje w miarę rozwoju społeczeństwa i zdąża do granicy=1, to znaczy, że społeczeństwa ludzkie dążą przedewszystkiem do osiągnięcia stanu niezmiennego. (Wynik potwierdzający to, co przypuszczał J. S. Mill).

7). Ideałem społecznym jest osiągnięcie przeciętnego natężenia całej ludzkości, dla uniknięcia zboczeń (§ 12 i 13).

Ani jednego z tych zasadniczych punktów nie poruszył szanowny krytyk i zamiast mi udowodnić, gdzie i dlaczego się mylę, zaczyna swoją ocenę zaraz z góry śmiałem twierdzeniem, że praca powinna nosić tytuł: „Ćwiczenia matematyczne na tle pojęć z dziedziny gospodarstwa społecznego.“ Szanowny krytyk nie wykazał mi jednak zupełnie, jakoby te ćwiczenia źle wypadły; skoro więc są dobre, to niechże im i ten tytuł w myśli szanownego krytyka służy. W zamian za to ustępstwo z mojej strony uzurpuję sobie prawo nadania elaboratowi szanownego krytyka tytułu „Ćwiczeń retorycznych na tle pojęć z matematyki.“

Uwaga szanownego krytyka o sigmach dowodzi, że szanowny krytyk nie zna odnośnej literatury europejskiej, w której ten sposób znakowania jest ogólnie przyjęty. Na poglądy szanownego krytyka o znaczeniu zastosowania matematyki do innych nauk piszę się zasadniczo, żałuję tylko, że szanowny krytyk nie zastosował tej metody do zbadania mojej pracy, jak to już wyżej wykazałem. W dalszym ciągu zachodzi pomiędzy nami znowu nieporozumienie co do tej kwestyi, jakoby wszystko można wypowiedzieć własnym swoim językiem, nie posługując się kabalistyką symbolów. Proszę mi własnym swoim językiem bez kabalistyki symbolów wyprowadzić wzór ogólny na wartość społeczną człowieka i za pomocą zwykłych sylogizmów wydedukować wartość społeczną jednostki w jakimkolwiek okresie wieku, następnie zaś każdą taką wartość obliczyć bez ustawiania matematycznego wzoru! Wolne żarty, Szanowny Panie K. R. Ż.

Szanowny krytyk twierdzi, że nic nowego nie odkryłem, lecz otrzymałem to, co każdy wie i rozumie. Toż to chyba największa dla mnie pochwała, jeżeli wyprowadziłem wzory, odpowiadające rzeczywistości, a mające służyć do obliczania różnych rzeczy.

Są jednak niektóre nowości w mojej pracy, których chyba szanowny krytyk nie dostrzegł. Cała rzecz wogóle jest nowością, z wyjątkiem pojęć zasadniczych o wartości człowieka, które podał był ekonomista Engel, a matematycznie przedstawił prof. Wittstein. Jak dalece jednak ja różnię się od prof. Wittsteina, to powinien był sam szanowny krytyk spostrzedz. Czy wszyscy ekonomiści mieli takie pojęcie jak ja, np. o społecznej wartości nowonarodzonego dziecięcia, które podług mego wzoru przedstawia się jako przyczyna nadwyżki produkcyi, tj. jako przyczyna zmiany społecznego mienia, o tem może się szanowny krytyk łatwo przekonać, rozmawiając na ten temat z fachowymi ludźmi. O różnych zapatrywaniach na cel ekonomicznego rozwoju (u mnie granica natężenia społecznego) może się szanowny krytyk przekonać z dzieł różnych autorów.

Na dalsze wywody szanownego krytyka nie mogę zwracać uwagi, bo wyrywanie luźnych szczegółów i ośmieszanie ich biorę wręcz za złośliwość. Trzeba było uchwycić nić przewodnią mojej pracy, a wówczas i szczegóły nabrałyby należytego znaczenia.

Teofil Rozmarynowicz.

W odpowiedzi Szanownemu Panu T. Rozmarynowiczowi zaznaczę:

1). Istotnie, wywody matematyczne jego wypadły bardzo dobrze.

2). Wyprowadził wzory, zgodne z rzeczywistością, ale niestety zużył na to więcej miejsca, niż potrzeba byłoby do wypowiedzenia tego bez kabalistyki matematycznej. Mój główny zarzut dotyczy właśnie tego, że z rzeczy prostej matematycy w ekonomice czynią rzeczy dziwnie złożone.

3). P. T. R. koniecznie upiera się przy tem, że wprowadził nowe pojęcia. Nie zaprzeczam—czynię tylko uwagę, że są one jałowe. Zarzut ten robię wszystkim matematykom, co mogę uczynić z tem większem sumieniem, iż zdaje się dużo przysiedziałem fałdów nad ekonomią i przytem jestem kandydatem nauk matematycznych. To zaś, jak autor określił wartość dziecka itd., jest dla mnie rzeczą mniejszej wagi, w porównaniu z pytaniem, czy ekonomika odniesie z tej definicyi korzyść.

4). Nie krytykowałem systematycznie pracy p. T. R., bo mi chodziło o coś większego: o pożyteczność kabalistyki matematycznej w ekonomii. Dlatego poprzestałem na „wyrwaniu“ kilku zdań.

P. T. R. w odpowiedzi swojej pominął parę ciekawych pytań. Pozwolę sobie skorzystać ze sposobności i rozważę je w przyszłym numerze *Prawdy*. Tam zastanowię się nad wartością zastosowań matematyki w ekonomice.

Ludwik Krzywicki.

KRONIKA.

Teatr. Na scenie warszawskiej odegrano sztukę Sardou p. t. „Madame Sans-Gêne,“ zrobioną z anegdot o Napoleonie i dość licho i wykonaną nie lepiej.

Zdrowie publiczne. Zarząd wystawy hygienicznej zawiadamia, iż sekcya „hygieny ludowej“ (wsi, osad i miasteczek), mająca swych współpracowników na prowincyi zamieszkałych, posiedzenia odbywać będzie, jak dotąd, w gmachu ratuszowym w Warszawie, w sali wydziału budowlanego, w dniu 1-ym każdego miesiąca nowego stylu, o godz. 7-ej wieczorem. Komitet tej sekcyi, pod przewodnictwem dr. H. Dobrzyckiego pracujący, został zorganizowany, jednakże mając na uwadze rozległość zadania, wymagającego jak najobszerniejszego udziału ludzi fachowych z zakresu różnych specyalności, komitet prosi o współudział pp. lekarzy, techników, właścicieli ziemskich i wogóle tych wszystkich, którzy współczują potrzebie poprawy warunków sanitarnych wśród naszego ludu. Współudział ten polegać może: na osobistem wzięciu udziału w obradach komitetu, wyjaśnieniu stosunków prowincyonalnych, daniu odpowiedzi na pytania kwestyonaryuszami objęte, jak również na wskazaniu osób, któreby mogły z pożytkiem grono pracowników powiększyć. W tym celu komitet prosi, aby osoby, chcące wziąć udział w pracach, o których mowa, albo osobiście, albo też piśmiennie zechciały się zgłosić do sekretarza sekcyi, dr. J. Tchórznickiego (Nowolipki, nr. 20) w Warszawie. Komitet uważa za konieczne zwrócić się z prośbą do ogółu o pomoc, raz dlatego, że praca podobna po raz pierwszy jest przedsiębrana, a powtóre, iż lubo zna wiele osób na prowincyi, które z pożytkiem dla danej sprawy pracowaćby mogły, jednakże dokładnie o miejscu ich zamieszkania nie jest poinformowany.

Koleje i komunikacye. Pomiędzy Petersburgiem i Wierzbołowem zaczął kursować pociąg błyskawiczny z takiem obliczeniem, że w Wilnie mogą się do niego przesiadać pasażerowie, jadący z Warszawy. W ten sposób przejazd z Warszawy do Petersburga można obecnie odbyć w ciągu doby.

Pożary. W Kobryniu ogień pozbawił dachu i chleba z górą 3,000 mieszkańców. Odległość od komunikacyi kolejowej utrudnia rychłe dostarczanie pomocy.

— W Lisowie, w pow. radomskim, zgorzało około 80 budynków, sporo inwentarza, zboża i ruchomości.

— W Koprzywnicy spaliło się ogółem 206 domów mieszkalnych i 219 zabudowań gospodarczych, ubezpieczonych na 77,780 rs. we wzajemnem ubezpieczeniu gubernialnem. Półtrzecia tysiąca mieszkańców pozostało bez dachu.

Wypadki. W Pradze czeskiej gwałtowna ulewa z oberwaniem chmury sprawiła wielkie spustoszenie. Niższe dzielnice miasta zalane. Mieszkańców ratowano na łodziach.

— W komitacie Neutra po obfitych opadach śnieżnych nastąpiło oberwanie chmur. Woda zalała olbrzymie przestrzenie pól rolnych i zniszczyła zasiewy. Zbiór siana przepadł. Z Oedenburga i okolicy donoszą także o oberwaniu chmur. W niektórych miejscowościach woda wdarła się do domów.

— Z Zagrzebia donoszą, iż w górach znaleziono kilku podróżnych, którzy w nocy na śmierć zmarzli. Wiele także koni i bydła wymarzło.

— Z Koszyc donoszą, iż w Karpatach nastąpiło oberwanie chmur. W górach i dolinach drogi i mosty zniszczone. Tor kolei Koszycko-Bogumińskiej podmyty. Ruch pociągów towarowych ustał; pociągi osobowe kursują z opóźnieniem.

— Skała „Schwarzer Mönch," należąca do grupy Jungfrau, runęła w dolinie Lauterbrunnen, czyniąc wielkie spustoszenia. Obawiają się dalszych usunięć mas skalnych.

— U wybrzeża hiszpańskiego rozbił się parowiec „Dom Pedro." Kocioł na statku eksplodował, poczem okręt poszedł na dno morza. Utonęło około stu osób, przeważnie wychodźców. Podróżni wsiedli na pokład statku częścią w Hawrze, częścią w Bordeaux; należeli przeważnie do narodowości włoskiej.

— Parowiec „Colima," należący do Pacific Mail Company, rozbił się na wybrzeżu pod Nowym Jorkiem. Utonęło 66 osób.

— Utrzymujący komunikacye pomiędzy wyspami Filipińskiemi, parowiec „Gravina," nawiedzony przez cyklon, rozbił się. Ze 167 osób, znajdujących się na pokładzie, ocalały tylko trzy.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Helenie L. w Sławucie. Tego rodzaju pozwolenia wydaje w Królestwie kurator okręgu naukowego.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Мая 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.